

SZTURM

miesięcznik narodowo - radykalny nr 28/2017 (13) ISSN 2450-5439



Szturm miesięcznik narodowo-radykalny nr 28/2017 (1)

[Krzysztof Kubacki – „O polityczność nacjonalizmu”](#) (3-5)

[Grzegorz Ćwik – „Herezja narodowego liberalizmu”](#) (6-12)

[Paweł Bielawski – „Narodowy radykalizm kontra liberalny kapitalizm – idea Tradycji kontra idea Zysku”](#) (13-16)

[Leon Zawada – „Rewolucyjny estetyzm”](#) (17-19)

[Jan Kuśmierczyk – „W obliczu Nowej Ery”](#) (20-22)

[Miłosz Jezierski – „Casus szwedzki”](#) (23-30)

[Tomasz Kosiński – „Socjaliści opuszczają NSDAP – tłumaczenie pierwszego manifestu Czarnego Frontu z 4 lipca 1930 roku”](#) (31-37)

[Adam Busse – „Błękitna Dywizja na froncie wschodnim 1941 – 1943”](#) (38-48)

[Witold Dobrowolski – „Hiszpania w ogniu”](#) (49-52)

[Patryk Płokita – „Patrick Pearse - irlandzki nacjonalista, katolik, republikanin, humanista”](#) (53-57)

[Marek Kubiński – „Czas biesów”](#) (58-60)

Krzysztof Kubacki – „O polityczność nacjonalizmu”

„Nie obchodzi mnie to”, „to nie nasza wojna”, „to nie nasza sprawa” - bardzo często można usłyszeć takie słowa z ust nacjonalistycznych działaczy kiedy rozmowa schodzi na życie i sprawy polityczne w III RP. Bardzo często olewczymy podchodzimy do tego co dzieje się w sejmie i wokół decyzji jakie są tam podejmowane. Wiadomą sprawą jest, że nie zasiadają tam delikatnie mówiąc ludzie z naszej bajki, jednak obrażać się na rzeczywistość nie możemy – mało kogo obchodzi parę naszych organizacji, ich zdanie i działania, które nie mają wpływu na ogół narodu. To już nie czasy przedwojenne gdzie obóz narodowy był jednym z głównych aktorów sceny politycznej. Niestety, ale obecną politykę, ustawy musimy komentować na bieżąco, nie uczyni nas to mniejszymi narodowymi radykałami jeżeli także politykę wpisujemy w swoje codzienne zajęcia. Chcąc nie chcąc wszelakie wojny w demoliberalnym bagnie dotyczą także nas, nasze rodziny, naszych znajomych. Polityka u nas ma to do siebie, że często bywa chaotyczna – więc i ludzi młodych wchodzących w nasze szeregi, a także już będących w szeroko pojętym ruchu należy uczyć jak reagować na zmieniające się sytuacje polityczne.

Oczywiście tworzenie naszej idei, rozkładanie jej na czynniki pierwsze i ubogacanie jej w coraz to nowe pojęcia i pomysły tego jak nacjonalistyczne państwo powinno wyglądać jest bardzo ważne. Jednak to obecne wojny polityczne między obozem rządzącym oraz opozycją elektryzują naród, przynajmniej jego większą część. Odwracanie się od tego i udawanie, że nas nacjonalistów to wszystko nie obchodzi i jak zwykle jesteśmy „nad tym” jest bez sensu. Tracimy w ten sposób 3 sprawy:

- 1) możliwość dokopania naszym przeciwnikom politycznym i ukazania ich obłudy większej części społeczeństwa,
- 2) możliwości przeciągnięcia na swoją stronę tę część ludzi uwiedzionych patriotycznymi hasłami obozu rządowego,
- 3) dania możliwości poznania się przez tych, którzy nie wiedzą po której stronie stanąć lub szukających kogoś spoza tego politycznego sporu.

Także odwracając się od tych – dla nas bądź co bądź – śmiesznych sporów, z takimi aktorami w roli głównej jak Ryszard Petru to jednak odbieramy sobie szansę na pokazanie się i wpłynięcie na opinię wielu ludzi. Dla naszych niestety wciąż małych szeregów nie jest to niczym dobrym. Tam gdzie jest możliwość pokonania przeciwnika politycznego tam musimy być i my, tam gdzie jest możliwość promocji nacjonalizmu – tam też musimy być i my. Od wykładów na uniwersytetach po nawet łatwiejszy sposób promocji, jakie nam nasze czasy proponują – fora dyskusyjne czy też serwisy społecznościowe. Nie da się pokonać demoliberalów i demoliberalizmu uciekając przed nimi. Przy okazji przeróżnych konfliktów obok nich zawsze słyhać głos narodu - „kiedy wy się

kłóćcie to my nie mamy na...” „wy tu macie wojenki, a my...” - zawsze padają takie stwierdzenia przy różnorodnych aferach przedstawiające codzienne problemy Polaków. To kolejna sprawa i kolejny sprawdzian na naszą czujność. Warto sobie wtedy odpowiedzieć na pytanie: a jak my byśmy to zrobili? A jak my byśmy naszym rodakom pomogli? A jak my byśmy ściągnęli ludzi z emigracji? Takich pytań można wypisać wiele, ale najważniejszym jest, żebyśmy na te pytania szukali i znali odpowiedzi jeżeli rzeczywiście chcemy, żeby Wielka Polska na naszych ustach nie widniała jedynie jako wielki, pusty frazes. Polak, który ideami się nie interesuje nie będzie wniknął w szczegóły polskiego nacjonalizmu, będzie raczej patrzył co ci głośni, w dużej mierze młodzi ludzie są mu w stanie zaproponować i czym różnią się od tych, którzy są w jego mniemaniu „złodziejami” i osobami utrudniającymi mu życie. Jak ci młodzi ludzie w swojej Wielkiej Polsce pomogą mu poprawić swój byt i czy nie są kolejnymi, którzy po prostu chcą wykorzystać jego dobrą wolę. I dlatego obok życia politycznego w Polsce nie możemy przechodzić obojętnie, bo to ogromna szansa na rozbudowanie nacjonalizmu, rozwijanie go jak i szansa wykazania się przed narodem.

Jeżeli uważamy, że w Państwo leży i kwiczy na polu socjalnym, a Polacy za swoje płacone wysokie podatki nie otrzymują nic w zamian, musimy sobie odpowiedzieć na pytanie jak my to byśmy załatwili, jak my byśmy sprawili, żeby pomoc socjalna działała w Polsce jak należy. Jak i gdzie znaleźć środki, żeby pomoc ze strony Państwa była jak najbardziej realna. Jeżeli uważamy, że Państwo nie funkcjonuje dobrze, znajmy odpowiedzi na to jak wyglądało by to w naszej Wielkiej Polsce, do której przecież wszyscy dążymy. To są sprawy, które Polaków interesują i to są sprawy z którymi nacjonalizm musi się uporać i znać na nie odpowiedzi. Musimy wyjść z pewnej piaskownicy manifestacyjnych haseł do konkretów życia codziennego. Wiem, że jest u nas w ruchu wielu ludzi z głową na karku, ludzi którzy potrafią się z takowymi pytaniami poradzić i gdzie nigdzie słyhać ich głos. To jednak za mało, na te tematy muszą powstawać artykuły, wisieć na naszych stronach i zawsze podierać kogoś z naszych szeregów przy różnorodnych dyskusjach. Jeżeli uważamy, że naród jest zmęczony wiecznymi demoliberalnymi wojenkami, a my jesteśmy lekiem na całe zło – musimy mieć swoją opinię na każdy temat, który naród interesuje. Najgorsze co możemy zrobić to odwrócić się, głupio uśmiechać i z pewnym zadufaniem w sobie stwierdzić, że to nie nasza sprawa, a naród sam z siebie stanie po naszej stronie i zacznie w ramię w ramię maszerować z nami do wymarzonej przez nas Polski. Niestety – tak się nie stanie. Najpierw musimy do siebie naród przekonać, chyba że zaczniemy pojmować naród jako naszą wąską grupę... Parafrazując Roberta Brasillacha, polski nacjonalizm jest dla nas poezją, a poezja w historii też nie unikała kwestii politycznych, a umiała bardzo często przyłożyć. Jeżeli więc uważamy, że III RP na arenie międzynarodowej nie reprezentuje naszych interesów, zastanówmy się jak my byśmy politykę zagraniczną prowadzili. Co po wyjściu z Unii? Co po wyjściu z NATO? Nadszedł ten czas

kiedy musimy usystematyzować nasze stanowiska na wszystkie tematy działania Państwa, bo niestety w ostatnich latach i ogólnie w 28-letniej historii III RP było to u nas bardzo rozmydlone i raczej unikało się klarownych stanowisk. Czas dorosnąć i czas zacząć przyciągać nie tylko ludzi młodych, ale ludzi wszystkich kategorii wiekowych. A niestety bez zajęcia się kwestiami Państwa, nie istniejemy. Czas po prostu się zabrać nie tyle co do roboty, co do myślenia.

Grzegorz Ćwik – „Herezja narodowego liberalizmu”

Szeroko rozumiany nacjonalizm w przeciągu ostatnich 6 lat ewoluował ze zjawiska niszowego i wręcz subkulturowego do rangi ideologii obecnej na scenie politycznej, w mediach i życiu społecznym Narodu. Niewątpliwie też sam nacjonalizm, jeśli rozpatrywać go pod względem konkretnych postulatów, kierunków rozwoju i głównych prądów w nim obecnych, przez ten czas zmienił swe oblicze. Oczywiście linie podziałów w polskim nacjonalizmie przebiegają na różnych płaszczyznach, jednak coraz bardziej widoczna i elementarna linia podziału objawia się w dychotomicznym funkcjonowaniu w środowisku narodowym 2 linii ideowych: narodowo-społecznej (lub po prostu: narodowo-radykalnej) oraz narodowo-liberalnej. Obie cieszą się spora popularnością i ich obecność występuje jednocześnie w ruchu, często także w ramach tych samych organizacji i środowisk. Oczywiście zwolennicy wszelkiego rodzaju frontów „szerokiej” prawicy, ruchów „antysystemowych” (cudysłów jak najbardziej zasadny) etc. mogą widzieć w tym element pozytywny i budujący. Ja jednak pozwolę sobie postawić tezę zgoła inną. Istnienie w polskim nacjonalizmie linii narodowo-liberalnej to zjawisko szkodliwe, patologiczne i w gruncie rzeczy sprzeczne z nadrzędnością interesów Narodu nad innymi. Pojęcie narodowego liberalizmu w ujęciu takim, jakie porusza mój tekst, traktować można wymiennie z poglądami kapitalistycznymi, wolnorynkowymi i tym podobnymi, które przyprósza się zwykle retoryką anty-imigrancką oraz wspomnieniem Żołnierzy Wyklętych, aby do „liberalizm” dodać można „narodowy”. Jak postaram się wykazać, oba te terminy nie mogą stać obok siebie.

Narodowy liberalizm – jedna droga dla banku

Pobieżny tylko przegląd wypowiedzi osób związanych z różnymi organizacjami i środowiskami narodowymi jednoznacznie wykazuje, iż idea narodowa w dużej mierze idzie obecnie w parze z szeroko rozumianymi inspiracjami kapitalizmem, wolnorynkowym światopoglądem czyli ogólnie rzecz ujmując – z liberalizmem. Popularność wśród sporej części nacjonalistów osób pokroju Cejrowskiego, Maxa-Kolonki czy pewnego klauna w muszce każe zadać zasadnicze pytania. Czy faktycznie są to osoby, na które powoływać powinni się nacjonaści? Czy powinniśmy ich popierać, tylko dlatego że też są przeciwni napływowi imigrantów oraz Unii Europejskiej? A przede wszystkim – czy skażenie idei nacjonalistycznej liberalnymi inklinacjami jest czynnikiem pozytywnym i rozwojowym, czy też szkodliwym, wprost mogąc być nazwanym „nowotworem”? Żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie warto przyjrzeć się pokrótce temu jak objawia się interesujący nas liberalizm wolnorynkowy w polskim nacjonalizmie? Przede wszystkim widać to w

całej gamie postulatów i pomysłów gospodarczych, ekonomicznych czy społecznych. Najpopularniejsze z nich to:

Obniżenie podatków ze szczególnym uwzględnieniem jak najniższego opodatkowania osób najbogatszych

Likwidacja lub maksymalne ograniczenie programów pomocy społecznej, wsparcia socjalnego (500+: patrz niżej)

Likwidacja praw pracowniczych lub daleko posunięta ich liberalizacja

Likwidacja płacy minimalnej i stawek godzinowych

Brak nadzoru inspekcji pracy, często postulowanie likwidacji PIP

Przyzwolenie a nawet promowanie tzw. umów śmieciowych

Likwidacja lub ograniczenie państwowej edukacji, służby zdrowia i innych struktur na rzecz prywatnych

Traktowanie kapitału jako elementu nie posiadającego narodowości – to pogląd zaczerpnięty wprost z myśli anarchokapitalistycznej i libertariańskiej

Postawienie na pierwszym miejscu interesu pracodawców przy pomijaniu i marginalizowaniu celów i interesów pracowników

Oczywiście, postulatów tych znalazłoby się więcej, a niektóre warte są rozpatrzenia. Jednak powyższe punkty to swoiste jądro programowe myślenia w kategoriach liberalnych czyli kapitalistycznych. Podstawowym problemem jest tutaj konflikt gradacji wartości i metodyki myślenia o imponderabiliach. Nacjonalizm wolny od liberalnej zarazy zawsze na pierwszym miejscu stawia interes Narodu, traktowanego jako kompletny zbiór wszystkich jego członków, tak tych silnych i samowystarczalnych, jak też słabych i wymagających wsparcia. To ideowa podstawa jakiegokolwiek myślenia w kategoriach narodowego solidaryzmu. Tak samo nacjonalizm w wydaniu radykalno-społecznym traktuje na równi interesy pracodawców i pracowników, przy założeniu że powinny zostać zapewnione warunki rozwoju dla obu tych grup oraz zabezpieczone ich interesy.

Dopiero z tych nadrzędnych nakazów myślenia narodowego wynikają konkretne postulaty w kwestiach ekonomicznych, społecznych czy gospodarczych.

Tymczasem myśl liberalna podchodzi do zagadnienia w zgoła odmienny sposób. Na pierwszym miejscu postawiona jest doktryna – wolny rynek jako swoista utopia, do której musimy dążyć (inklinacje z analogicznym, marksistowskim myśleniem epoki słusznie minionej są jak najbardziej zasadne). Teoretycznie wolny rynek i szerzej : kapitalizm, mają być odpowiedzią na postulat wolności, jednak w praktyce kończy się na dogmatycznym bronieniu idei, która jest po prostu

niekompatybilna do myśli nacjonalistycznej. To tak naprawdę największy zarzut dla narodowego liberalizmu z nacjonalistycznego punktu widzenia. O ile bowiem nacjonalizm stawia na wartość Narodu i z tej podstawy czerpie inspirację do bardziej szczegółowych programów, o tyle liberalizm wolnorynkowy skupia się na ślepej wierze w doktrynę ekonomiczną i sztywnym trzymaniu się postulatów związanych z tym nurtem.

Największym błędem metodycznym liberalizm jest w takim ujęciu założenie, że człowiek pozostawiony sobie nie tylko będzie zachowywał się w sposób racjonalny i logiczny, ale przede wszystkim że będzie kierował się (jak tego chcą kapitaliści) pobudkami szczytnymi, szlachetnymi i dobrymi. Tym bardziej wiara w to, że człowiek w ustroju wolnorynkowym musi kierować się światopoglądem nacjonalistycznym jest ogromną naiwnością.

Nie możemy też zapominać o niespójności obu idei (narodowej i liberalnej) na linii jednostka-kolektyw. O ile bowiem liberalizm to idea skrajnie indywidualistyczna, całkowicie wykluczająca interesy zbiorowości z wartości jakimi należy się kierować, o tyle nacjonalizm wyraża się w myśleniu kolektywnym, narodowym. Celem jest rozwój, bezpieczeństwo i dobrobyt całego Narodu, a nie tylko określonych jego jednostek. Tym bardziej, że w warunkach kapitalistycznych bogacenie się jednej grupy ludności odbywa się zawsze dzięki wyzyskowi drugiej, co oznacza jej marginalizację i postępującą pauperyzację.

Ostatnim, co rzuca się w oczy, przy analizowaniu herezji wolnorynkowej w ramach polskiego nacjonalizmu, to swoisty ekonomizm. Obecnie możemy go śledzić szczególnie przy wszelkich komentarzach i „analizach” odnośnie głośnego programu 500+. Dla liberałów i wolnorynkowców najważniejszym i jedynym kryterium oceny tego programu jest jego koszt oraz fakt, iż finansowany jest z budżetu państwa. Faktycznie – sumy poświęcane w skali roku na 500+ robią wrażenie, jednak dla nas, nacjonalistów, najważniejszym pryzmatem oceny będzie to, czy program ten wpływa korzystnie na rozwój narodowy Polaków czy nie. Choć 500+ nie działa jeszcze specjalnie długo i nie dysponujemy jeszcze całościowymi analizami, to jednak pewne badania zostały już poczynione. Wynika z nich jednoznacznie, że środki z program 500+ przeznaczane są przez polskie rodziny w największym stopniu na żywność, ubrania, rachunki oraz (co bardzo ważne) edukację (książki i podręczniki, korepetycje i dodatkowe zajęcia). Kompletnie przeczy to populistycznym argumentom (które wolnorynkowcy dzielą ze środowiskiem Gazety Wyborczej, NaTemat czy partią KORWiN) jakoby osoby otrzymujące pieniądze z 500+ przeznaczały je wyłącznie na alkohol. Inne analizy wykazują, iż od momentu wdrożenia programu zauważalnie i wymiernie zmniejsza się poziom ubóstwa (w tym ubóstwa dotyczącego dzieci) oraz wykluczenia społecznego. Tak więc nacjonalista przychylnie spojrzy na 500+, szukając raczej sposób na optymalizację tego programu. Wolnorynkowiec, owładnięty kapitalistycznymi bredniami, jedyne na co się zdobędzie to historyczny wrzask „to z moich pieniędzy!”. I o ile to prawda, program finansowany jest przecież z

podatków, to w ujęciu państwowym uznać go można spokojnie za realizację postulatu solidaryzmu narodowego.

Każdy więc, kto czuje ciągoty do idei rodem z „masakr” Korwina, powinien sobie zadać fundamentalne pytanie. Czy dla nacjonalisty ważniejsza jest idea z Narodem jako wartością najważniejszą, metafizyczną, gdzie wszelkie działania i dążenia oceniane są przez finalny i całościowy wpływ na wspólnotę narodową, czy też ważniejszy jest wolny rynek ze sztywnym doktrynerstwem i niewolą ekonomizmu i analizowania rzeczywistości wyłącznie przez pryzmat liczb i tabel.

Naród czy kapitał?

Tekst mój właściwie tutaj mógłby się kończyć, nie mogę jednak odmówić sobie wymienienia kilku najistotniejszych aspektów, w których silnie i wyraziście objawia się konflikt idei narodowo-społecznej (nacjonalistycznej) i narodowo-liberalnej (kapitalistycznej). To najczęstsze punkty gdzie widać zupełnie różne podejście i postulaty.

Prawa pracownicze – chyba jeden z najczęstszych celów ataków liberałów. Wedle kapitalistycznego punktu widzenia (podzielanego przez narodowych liberałów) pracodawca musi posiadać pełną władzę nad pracownikiem w miejscu jego zatrudnienia, a każda próba zapewnienia godziwych warunków zatrudnienia to „socjalizm”, „komunizm” i „lewactwo”. Niepłacenie na czas, zmuszanie do brania darmowych nadgodzin, pracy w weekendy, łamanie warunków umowy – to wszystko dla narodowych liberałów naturalny porządek ich wymarzonego ustroju. Nacjonalizm oczywiście staje jednoznacznie po stronie pracowników i opowiada się za godziwym zatrudnieniem i wynagrodzeniem, a we wspólnej realizacji zadań przez pracodawców i pracowników, w modelu zbliżonym do korporacjonizmu, widzi drogę rozwoju i wzrostu dobrobytu wszystkich klas społecznych.

Umowy śmieciowe i płaca minimalna – zagadnienie bezpośrednio związane z poprzednim. Wolnorynkowcy nie widzą nic złego w masowym zatrudnianiu w oparciu o umowy cywilnoprawne (tzw. śmieciówki) co umożliwia pracodawcom niestosowanie zapisów kodeksu pracy. W praktyce oznacza to dla pracownika pozbawienie ubezpieczeń społecznych, możliwości korzystania z urlopu, ponadto taka umowa jest zwykle krótkoterminowa a wypowiedziana może być z dnia na dzień. W dłuższej perspektywie umowy śmieciowe oznaczają głodowe emerytury, nie pozwalające na jakiegokolwiek utrzymanie się. Także w płacy minimalnej kapitaliści widzą prawdziwe zło wcielone, mimo licznych przykładów (choćby ostatnio Niemcy) pokazujących, że jej wprowadzenie

zwiększa zatrudnienie i nie wpływa w żaden sposób negatywnie na ekonomię czy rynek pracy. W nacjonalistycznym ujęciu to zwykły sposób na zapewnienie minimum utrzymania i egzystencji dla osób na niższych stanowiskach, przy jednoczesnym utrudnieniu wyzysku przez nieuczciwych pracodawców. Takie same powody powodują, że myśl narodowo-społeczna opowiada się przeciw masowemu stosowaniu umów śmieciowych. Oczywiście, są sytuacje gdy umowy takie są nieodzowne, np. w wypadku freelancerów, wolnych zawodów, jednak w wypadku gdy zachodzi zwykły stosunek pracy, zastosowanie może mieć też tylko umowa o pracę.

Te 3 elementy: płaca minimalna, umowy o pracę i prawa pracownicze, prawidłowo funkcjonujące w narodowym państwie, stanowić powinny bastion poczucia bezpieczeństwa i stabilności wśród milionów Polaków, zwłaszcza tych młodych. To zaś fundament tego by Naród mógł się prawidłowo rozwijać i budować lepszą przyszłość.

Zasiłki – dla kapitalistów to prawdziwy jeździec Apokalipsy. Zasiłki bowiem dla nich z definicji są złe, a z owego „socjału” korzystają tylko lenie, nieroby i nieuki. Opinie takie dotyczą zwłaszcza zasiłków dla bezrobotnych. Naprawdę zaś wygląda to „trochę inaczej”. Zasiłki to ubezpieczenie, do którego otrzymuje się prawo po odpowiednio długim okresie płacenia składek na fundusz pracy (12 miesięcy w przeciagu ostatnich 18 miesięcy). Nikt więc nie daje tych pieniędzy komuś „na piękne oczy”, ale dlatego, że dana osoba opłacała składki. Sam zasiłek wypłacany jest maksymalnie przez 6 miesięcy, a jego wysokość waha się w granicach 500-900 zł (w zależności od stażu pracy). Obecnie niecałe 15% bezrobotnych posiada prawo do zasiłków. Tak więc ani jego pobieranie nie jest masowe, ani w żadnym wypadku nie są to „kokosy” pozwalające na życie na koszt innych.

Czym jest więc zasiłek? To przede wszystkim swoisty bufor, który pomaga zabezpieczyć byt materialny osobom, które poszukują pracy po jej utracie. Największe mankamenty jego funkcjonowania to nie sam fakt, iż zasiłki dla bezrobotnych istnieją, ale wadliwe przepisy i ustawy. Zasiłki zazwyczaj nie przysługują osobom zatrudnionym wcześniej na śmieciówkach, ich wysokość często jest niewystarczająca (zwłaszcza dla osób będących jedynymi żywicielami rodziny) a przyznanie może być odroczone nawet o kilka miesięcy (m.in. przez formę zakończenia stosunku pracy w ciągu 6 miesięcy przed wizytą w urzędzie). Tak więc to są prawdziwe elementy zasługujące na krytykę przez nacjonalistów w tym zagadnieniu (zwłaszcza wspomniane wcześniej masowe zatrudnianie na śmieciówkach), a nie sam fakt istnienia zasiłków.

Analogiczna sytuacja ma miejsce z pomocą społeczną – sztywne normy, błędne procedury i niekompetentny personel tego pionu budżetówki to powody, dla których pieniędzy nie dostają często ci, którzy pomocy faktycznie wymagają. Jako nacjonałiści, a więc osoby opowiadające się za solidaryzmem narodowym, musimy mieć świadomość, że istnieje grupa ludzi wymagająca wsparcia i pomocy. Niepełnosprawni, osoby z rodzin dysfunkcyjnych, ludzie pokrzywdzenia przez wszelakie wypadki losowe – pozostawienie ich samych sobie to już nie kwestia stricte ideowa, to sprawa

zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Naprawić trzeba instytucje i przepisy warunkujące tą pomoc, a nie bredzić o „nierobach żyjących z naszych podatków”.

Podatek bankowy i podatek dla dużych sieci sklepów – to chyba najczęstszy postulat kapitalistów. Podatki dla bogatych są dla nich prawdziwą zbrodnią (tylko na kim?), a gigantyczny drenaż polskiego kapitału przez zagraniczne koncerny i korporacje to nie problem. Fakt, że Polska jest w pierwszej dwudziestce krajów o najwyższym stopniu odpływu kapitału za granicę, dzięki działaniu zagranicznych firm, wolnorynkowców zdaje się nie martwić. Najważniejsze to aby powstał kolejny supermarket czy oddział zachodniej korporacji, nawet kosztem polskich firm. Można dyskutować czy warunki i sposób wprowadzenia podatku bankowego oraz podatku dla dużych sieci sklepowych są najlepsze, jednak sama idea im przyświecająca jest jak najbardziej słuszna. Trzeba jak najszybciej ograniczyć drenaż polskiego kapitału i zmusić zachodnie firmy do płacenia podatków tutaj, w Polsce. Podobnie w wypadku systemu podatkowego jako nacjonałiści opowiadać powinniśmy się za podatkami progresywnymi. Skrajnie naiwna teoria „skapywania” już dawno została obalona, a sprawiedliwa i narodowa (czyli przede wszystkim bardziej równomierna) redystrybucja pieniądza wymaga takiego właśnie rozwiązania. Nie kłóci się to oczywiście w żaden sposób ze zwiększeniem kwoty wolnej od podatków czy obniżeniem podatków dla najuboższych, co niejednokrotnie zdarza się wyczytać lub usłyszeć w wolnorynkowej propagandzie.

Co najważniejsze odrzucić trzeba kategorycznie dogmat jakoby kapitał nie miał narodowości – to liberalna trucizna nie mająca z realiami jakiegokolwiek związku.

Odważny krok do przodu – twórczy rozłam?

Temat funkcjonowania liberalnej herezji w naszym polskim środowisku nacjonalistycznym to oczywiście sprawa do dłuższych i bardziej złożonych analiz. Na potrzeby niniejszego tekstu, który ma charakter przede wszystkim publicystyczny, przejść możemy do podsumowania i wniosków, oraz konkretnych postulatów.

Pierwszą konstatacją jest stwierdzenie, które nota bene już padło więc tylko je powtórzymy, że nacjonalizm i kapitalizm wolnorynkowy nie idą razem w parze. Ze względu na zupełnie inne wartości im przyświecające, diametralne różnice w konstrukcji rozumowania oraz różną gradację celów i idei, uznać trzeba tzw. „narodowy liberalizm” za swoistą herezję, nie mogącą być akceptowaną w nacjonalizmie.

Z samego takiego stwierdzenia nie wynika jeszcze żadna praktyczna korzyść. Tym bardziej, że narodowy liberalizm nie wyraża się w konkretnej organizacji czy środowisku, ale rozsiany jest po różnych strukturach. W efekcie, ze względu na wzajemne wykluczanie się, narodowy liberalizm hamuje działania w duchu narodowo-społecznym (nacjonalistycznym), a kierunek narodowo-

społeczny także dla liberałów jest swoistym wstecznictwem i „spowalniaczem”. Wniosek jaki się nasuwa jest prosty. Oba te kierunki : narodowo-liberalny oraz narodowo-radykalny (lub jak kto woli: narodowo-społeczny) powinny możliwie najszybciej się rozejść i pójść odrębnymi drogami. Mowa tu zarówno o kierunkach ewolucji idei i sposobów działania, jak i przede wszystkim o organizacjach i środowiskach. Krótko mówiąc, postulatem moim jest swoisty rozłam w środowisku nacjonalistycznym. Organizacje, które zdominowane są przez wolnorynkowców i opowiadają się za kapitalizmem, pójść powinny oficjalnie już w kierunku współpracy z partiami Korwina, Józwiaka czy Petru (w zależności, która odmiana liberalizmu jest im bliższa) a odpuścić sobie nawiązywanie do idei nacjonalistycznej. Z kolei kapitałiści w strukturach, które nie są zdominowane przez liberałów być może powinny się zastanowić nad zmianą przynależności – organizacji, partii i think-tanków liberalnych i libertariańskich jest aż nadto.

Rozłam taki wyjdzie obu grupom na zdrowie. Narodowym radykałom pozwoli na realizowanie działań w duchu zdrowego nacjonalizmu, bez oglądania się na liberalną część ruchu. Zaś liberałowie będą mogli w końcu rozwinąć swoje wolnorynkowe skrzydła i w pełni opowiedzieć się za tyranią niewidzialnej ręki rynku. Takie swoiste katharsis w moim mniemaniu wyszłoby z dużym pożytkiem dla idei Narodowego Radykalizmu w Polsce.

Paweł Bielawski – „Narodowy radykalizm kontra liberalny kapitalizm – idea Tradycji kontra idea Zysku”

„Nie sędzę, by było przesadą powiedzieć, że historia to w dużej mierze historia inflacji, zwykle inflacji powodowanych przez rządy w interesie rządów”

- Friedrich August von Hayek

„Współczesny człowiek czyni możliwym to, co każda normalna i kompletna cywilizacja zawsze uważała za aberrację – mianowicie, przekonanie, że ekonomia i kwestia socjalna rozumiana w kategoriach ekonomicznych są jego przeznaczeniem”

- Julius Evola

O ile mi wiadomo, jedynie w Polsce wśród nacjonalistów istnieje zjawisko, które można by określić mianem „narodowego” liberalizmu, mające oznaczać akceptację nacjonalizmu, przy jednoczesnym zdecydowanym poparciu liberalnie pojmowanego kapitalizmu.

Samo istnienie takiego zjawiska i pojęcia wywołuje konsternację, gdyż równie dobrze można twierdzić, iż możliwe jest łączenie nacjonalizmu i genderyzmu albo głosić „narodowy transseksualizm”. Absurdalne, prawda? No właśnie. Dokładnie tak samo absurdalne jak „narodowy” liberalizm. Dlaczego jest to bezsensowne? Dlatego, że „nacjonalizm” i „liberalizm” są pojęciami, które są ze sobą sprzeczne u samych podstaw.

Cytuję definicje obu terminów za encyklopedią PWN:

liberalizm - koncepcja teoretyczna i postawa światopoglądowa oparta na indywidualistycznej koncepcji człowieka i społeczeństwa, głosząca, że wolność [łac. liberalis ‘dotyczący wolności’] i nieskrępowana przymusem politycznym działalność jednostek mają wartość nadrzędną”.

nacjonalizm - [łac. natio ‘naród’], przekonanie, że naród jest najważniejszą formą uspołecznienia, a tożsamość narodowa najważniejszym składnikiem tożsamości jednostki, połączone z nakazem przedkładania solidarności narodowej nad wszelkie inne związki i zobowiązania oraz wszystkiego, co narodowe, nad to, co cudzoziemskie lub kosmopolityczne”.

Doktryna liberalna głosi, iż dobro jednostki jest najważniejszą wartością, stawianą ponad inne. Doktryna nacjonalistyczna głosi, iż dobro wspólnoty narodowej jest najważniejszą wartością,

stawianą ponad inne. Mam nadzieję, że wyjaśnione zostało to w sposób wystarczająco klarowny. Jaka jest puenta? Taka, że nacjonalizm i liberalizm stoją ze sobą w zasadniczej sprzeczności. Nie ma i nie może być między nimi zgody. Albo ktoś twierdzi, że dobro wspólnoty jest ponad jednostką, albo ktoś głosi, że dobro jednostki jest ponad dobrem wspólnoty. Na coś się trzeba zdecydować.

Dla jeszcze większej jasności, proponuję następujący podział: narodowy radykalizm i liberalny kapitalizm.

Słowa kluczowe:

Narodowy Radykalizm: Wspólnota, Tradycja, Ład

Liberalny kapitalizm: Jednostka, Wolność, Zysk

Narodowy radykalizm to idea stawiająca dobro wspólnoty ponad dobro jednostki. Dobrem jest to, co wspólnotę spaja – tradycja. Wspólnota, żyjąca w zgodzie z tradycją tworzy pewien ład.

Liberalny kapitalizm to idea stawiająca dobro jednostki ponad dobro wspólnoty. Dobrem jest to, co jednostkę wyrzywa z ograniczeń – wolność. Dzięki temu jednostka może cieszyć się nieskrępowaną możliwością dążenia do zysku.

Te dwie idee opierają się na dwóch kompletnie różnych koncepcjach człowieka. Nieco upraszczając, można przedstawić tę różnicę tak: homo religiosus kontra homo economicus. „Homo religiosus” to termin ukuty przez religioznawcę M. Eliadego. Termin określa człowieka jako istotę religijną, tj. określa człowieka jako istotę, mającą z natury potrzebę „sacrum”. „Homo economicus” to koncepcja (dominująca w dzisiejszym myśleniu ekonomicznym), zakładająca, że człowiek racjonalny („racjonalny” w domyśle „egoistyczny”) zawsze dąży do maksymalizacji osiągniętych zysków; wyborów dokonuje zawsze ze względu na wartość ekonomiczną. Jest to koncepcja, która człowieka widzi jako istotę stricte materialistyczną, całkowicie wyłączając z rozważań moralnych jakikolwiek porządek wyższy niż rynek. Bardzo dobrym przykładem dialogu obu tych koncepcji jest scena z filmu „Fanatyk”, gdzie główny bohater Daniel stara się o fundusze u pewnego biznesmena:

Biznesmen: (...) Teraz istnieje tylko rynek i nie obchodzi go kim jesteś.

Daniel: Ludzie ciągle potrzebują wartości i wierzeń.

Biznesmen: Wcale nie. Nie ci rozsądni. Posłuchaj, dam Ci pięć tysięcy. Ale jak ci się nie uda, przyjdź do mnie. Pokażę ci jak zarobić kupę pieniędzy.

Daniel: Nie obchodzą mnie pieniądze.

Biznesmen: Będą.

Daniel: Pan jest Żydem. Może nie zdaje sobie Pan z tego sprawy, ale jest pan Żydem.

Biznesmen: Może i jestem. Może już teraz wszyscy jesteśmy Żydami. Co za różnica?

Kluczowe w tym dialogu jest „istnieje tylko rynek i nie obchodzi go kim jesteś”. Dokładnie tak jest. Rzeczy typu wspólnota narodowa, tradycja, religia, silna tożsamość są dla rynku zawadą, przeszkodą. Kapitał przecież nie ma narodowości, prawda? Jest to jednak teza mocno dyskusyjna. Już słyszę te zarzuty o „lewactwo”, „komunizm”, miłość do Korei Północnej i chęć budowania kolchozów - bo skoro ktoś jest krytycznie nastawiony do liberalnego kapitalizmu, to oznacza, że jestem „komuchem”, prawda? Nieprawda.

To wszystko zależy od tego jak pojmować będziemy kapitalizm i na jakie miejsce w hierarchii wartości go postawimy. To wszystko zależy czy będziemy pojmować kapitalizm jako środek czy cel! To zależy, czy rynek będziemy brać pod uwagę, czy traktować go jako wyrocznię moralną. To zależy, czy będziemy wzrost gospodarczy traktować jako dobro do wykorzystania dla potrzeb Narodu, czy będziemy wyznawać religię wzrostu ekonomicznego i PKB, do którego życie całej wspólnoty narodowej winno być dostosowane. To zależy, czy priorytetem są realni ludzie i ich potrzeby, czy wskaźniki ekonomiczne.

Ekonomia nie jest i nie musi być naszym przeznaczeniem. Ekonomia to sposób zarządzania pracą i rozdziałem zysków. Ni mniej, ni więcej. Zarządzać tymi zasobami powinno się tak, by zwiększało moc sprawczą Narodu, a nie by Naród był niewolnikiem sposobu zarządzania.

„(...) W celu przyjęcia nowej zasady, to co jest konieczne, to nie przeciwstawienie jednej formuły ekonomicznej innej, ale zamiast tego radykalna zmiana podejścia, odrzucenie bez kompromisu materialistycznych przesłanek, które przez czynnik ekonomiczny jest postrzegany jako absolut (...) **Prawdziwa antyteza to nie ta pomiędzy kapitalizmem i marksizmem** [podkreślenie moje], a systemem w którym ekonomia jest podporządkowana czynnikom pozaekonomicznym, wewnątrz szerszego i bardziej kompletnego porządku, takiego który nadaje ludzkiemu życiu głębszego znaczenia i sprzyja możliwościom osobistego rozwoju.”

Jan Stachniuk podziwiał wczesną fazę protestantyzmu. Podobnie jak moi koledzy z redakcji, podzielam dużą dozę niechęci do współczesnego protestantyzmu. Niepodobna jednak przeczyć, iż „wczesny protestantyzm” (o którym Stachniuk się wypowiadał z uznaniem) dał pewne pozytywne

owoce, jak to historia pokazała na przykładzie dawniejszej Anglii, Niemiec, Niderlandów, RPA czy Szwajcarii. Nie mam najmniejszego zamiaru nikogo namawiać do przejścia na protestantyzm (w żadnym razie!). Natomiast chcę zwrócić uwagę na pewien fakt. Mimo obecnej degrengolady moralnej w krajach post-protestanckich, wczesny protestantyzm był w dużej mierze kultem pracy i przedsiębiorczości, ale nie dla niej samej! Bogactwo człowieka miało być objawem łaski Bożej. Nad ideą materialnego zysku stała wyższa sankcja, wyższy porządek. Bogacenie się było cenione, ale jako droga do celu, nie jako cel sam w sobie. Wypracowane zyski należało potem inwestować, a nie przechlać czy przećpać. To jest kwestia kluczowa. Z bogactwem należało obchodzić się odpowiedzialnie, w imię pewnych wyższych racji moralnych.

Oczywiście nie ma sensu popadać ze skrajności w skrajność i ubóstwiać nędzę. Byłoby to po prostu głupie. Chcesz się bogacić? Proszę bardzo! Powodzenia! Pytanie kluczowe jest takie: co zrobić z wypracowanym bogactwem? Liberalny kapitalista odpowie: „róbta co chceta!”. Dla niego, bogactwo jest celem samym w sobie. Narodowy radykał – już nie. Wypracowane bogactwo narodowy radykał postrzeżeć będzie jako środek do celu.

Ernst Jünger stwierdził niegdyś: „Być nacjonalistą znaczy walczyć o konieczności swego narodu wszystkimi środkami, jakie stoją do dyspozycji”.

Kapitał jest środkiem, nie celem.

Bibliografia:

<http://encyklopedia.pwn.pl/haslo/liberalizm;3932244.html>

<http://encyklopedia.pwn.pl/haslo/nacjonalizm;3945094.html>

<http://www.racjonalista.pl/kk.php/t,5083>

J. Evola, Marksizm i kapitalizm – dwie strony tej samej monety, Szczerbiec nr 149, s. 31

Leon Zawada – „Rewolucyjny estetyzm”

Żyjemy w czasach marności, bylejakości i fałszywych religii. Wszystko co piękne, wszystko co zakorzenione głęboko w naszych sercach jako najjaśniejsze światło zdolne do przeciwstawienia się ciemności zostało przykryte grubą warstwą kurzu. Przeglądając kartki stron starych książek czytamy o olimpijskim płomieniu jarzącym się na pochodni. Snując się po ulicach historycznych części miast widzimy architekturę, która przeminęła. Widzimy ducha, który umarł. Bo czy dziś, którakolwiek ze wznoszonych budowli będzie miała kiedykolwiek wartość większą niż ciekawostka? Czy znajdzie się ktoś kto powie, że budynki galerii handlowych i szklanych biurowców to estetyczne piękno, a nie jedynie utylitarystyczny pomnik epoki post-modernizmu?

Przypominamy sobie czasy, gdy byliśmy bliżej natury. Czasy, w których jedzenie dawała ziemia, na której się żyło. Związek ziemi, zamieszkujących ją ludzi i ich kultury zapamiętały chociażby stare księgi kucharskie. A kto z nas nie złapałby się na jedzeniu śmieciowego żarcia, które zatruwa nasze organizmy? Żywimy się tym co w każdej części globu wygląda podobnie. Jedzenie pozbawione wyjątkowości, niezdrowe i oddzielone od naturalnego cyklu życia. Od pór roku, uwarunkowań geograficznych czy ludowej tradycji. I w prawdzie, nie jest to tylko i wyłącznie nasza wina. Część winy ponosi system. Mechaniczny kapitalizm wymuszający życie w biegu i pozbawiający czasu na elementarne życiowe czynności jak chociażby przygotowanie rodzinnego posiłku. Często spotykam się z opiniami, że tak naprawdę nie żyjemy w epoce kapitalizmu. Faktycznie dzisiejsze stosunki gospodarcze nie są identyczne z XIX-wiecznym wytworem protestanckich i świeckich handlarzy. Czy to jednak znaczy, że realny socjalizm nigdy się nie skończył? Czy pracujemy w państwowych fabrykach, kupujemy w państwowych sklepach i jemy na państwowych stołówkach? Odpowiedź, oczywiście, jest negatywna co przychodzi wraz z wnioskiem, że żyjemy w najgorszych czasach kapitalizmu. W czasach rozkładu tegoż systemu do formy, w której państwo zamiast stymulować zrównoważony rozwój całej wspólnoty przyczynia się jedynie do dalszego monopolu ponadnarodowych korporacji. Tych samych, których władza dziś znaczy więcej niż suwerennych państw.

System uczynił nas dziećmi brzydoty. System zepsuł naszego ducha i zmusił go do samobójstwa. Nie jest ono aktem honorowym i bynajmniej nie wynika z Bushido, a raczej z dezercji. Zwykłej ucieczki z pola walki. System zamienił Sztukę w „sztukę” reklamy. Komercyjnej, płytkiej i zabijającej coś więcej niż samą estetykę. Reklamy, która przesiąknięta seksualnością i uprzedmiotowieniem ciała przynosi jeszcze gorsze skutki niż mogłoby się wydawać na początku. Pozbawia bowiem erotykę erotyzmu. Kładzie brudne łapy na ars amandi i zamienia akt miłości w

narzędzie do zarabiania pieniędzy. Przewartościowany kult ciała traci swój pierwotny olimpijski wymiar. Wykuwane w zatłoczonych siłowniach mięśnie często służą zaspokajaniu narcyzmu, niedowartościowania lub po prostu poszukiwaniu kolejnych obiektów chwilowej przyjemności. I trudno jest winić ludzi za to w jakich żyją czasach. Trudno winać ludzi oddzielając ocenę od ducha obecnej epoki. A raczej jego braku. Falszywa religia doczesności wraz z rzeszą zatrutych dusz rozlewa się po portalach społecznościowych, uczelniach, szkołach, miejscach pracy, dyskotekach.

Jak w tym wszystkim odnaleźć ma się Nacjonalista? Nacjonalista przez wielkie „N”. Nie piszę o szowinistycznym elemencie okupującym osiedlowe ławki. Nie piszę o tych, którzy myślą, że Ojczyzna wymaga od nich plucia na chodnik, gdy słyszą na ulicy obcą mowę. Słowa te kieruje do Nacjonalistów, którzy uwierzyli w Piękno i Prawdę. Tych, którzy szukali ich w Piśmie Świętym znajdując wyraźne rozróżnienie dobra od zła. Tych, którzy szukali ich w utopijnej idylli „Marmurowych skał” Ernsta Jungera podkreślającej wartość życia w wspólnocie żyjącej w zgodzie z naturą i tradycją. Szukali Piękna i Prawdy w powieściach Tolkiena, który wysłał małych hobbitów na beznadziejną wyprawę przeciwko złu. Szukali w pismach Juliusza Ewoli, piszącym o indoeuropejskim heroizmie ducha. Szukali także w karcących mieszczańską beczynność tekstach klasyków polskiej myśli narodowej. Do tych, którzy uświadomili sobie, że Wiara jest duszą, Państwo ciałem, Naród krwią, Tradycja tarczą a Nacjonalizm mieczem. Do tych, którym objawiło się Piękno i Prawda w najjaśniejszej postaci.

Obrona droga nie jest prosta. Trudno bowiem żyć ze świadomością walki o zmianę całego świata. Walki, o obrócenie kół historii. Nie po to jednak, żeby je reakcjonistycznie zawrócić do tego co minione, lecz po to aby stworzyć własny poranek Nowego Świata. Chrześcijańska etyka, poczucie piękna greckiej filozofii, sprawiedliwość prawa rzymskiego i ludowe tradycje zbudowały nasz kręgosłup. Nadały sens temu w co wierzymy. Narodowemu szczęściu powszechnemu, które chcemy zobaczyć powstające z pracy naszych rąk i umysłów. Osamotnieni, porzuceni przez prawicę, która przegrała bój o kulturę i serca ludzi musimy maszerować własną ścieżką. Tak, jesteśmy samotnikami! Żyjemy w systemie, który na naszych oczach morduje świat, który chcielibyśmy kochać. Zamienia życie w służbę korporacjom i ich interesom. Nie chcemy takiego życia. Nienawidzimy go! I przede wszystkim nienawidzimy ich brzydoty. Wierzmy w Piękno. Wierzmy w Prawdę. Gardzimy obrzydliwym, zseksualizowanym, płytkim światem post-moderny. A nasza pogarda to satyra zastanej rzeczywistości. Niech nasz ubiór będzie schludny, estetyczny, zamknięty w bieli, czerni i pastelowych kolorach. Niech naszą rewolucją będzie kołnierzyk, skórzany pasek i ułożone na bok włosy. Nie po to aby upodobnić się do korporacyjnego prekariatu, lecz po to aby uzewnętrznić Porządek umocowany w naszych głowach. Rewolucyjny estetyzm to

czystość będąca strzałą uwalnianą z napiętej cięciwy. I nie zamierzam wcale tutaj postulować ugrzeczniania wizerunku nacjonalizmu. Przeciwnie! Wyprasowana koszula i przedziałek na głowie mają być AKTEM WOJNY przeciwko zepsuciu. Ład w odpowiedzi na hedonizm. Porządek w odpowiedzi na chaos. Wreszcie, bunt w odpowiedzi na konformizm.

Odszukajmy zatem utraconą dobroć w obrazach Rembrandta, w poezji Zbigniewa Herberta, w Odysei i Iliadzie Homera. Atakujmy popkulturę wierszem i sztuką. Stańmy się ekspertami we własnych dziedzinach. Uzbrojeni w chłodny styl, przenikliwe uśmiechy i „Płonące Dusze” Leona Degrelle na nocnym stoliku maszerujmy ku przyszłości naszych marzeń.

„Bywają epoki upadku, w których zaciera się forma stanowiąca najbardziej immanentny wzorzec życia. Wtrąceni w nie, zataczamy się na prawo i lewo, jak istoty pozbawione równowagi. Z tępych przyjemności wpadamy w tępy ból, a świadomość straty, ożywiająca nas ciągle, ponętniej rysuje przed nami przyszłość i przeszłość. Poruszamy się w minionych epokach lub odległych utopiach, podczas gdy terażniejszość przemija.” - Ernst Junger

„Życie - jak łuk; dusza - jak strzała; duch absolutny - jak cel do trafienia. Zjednocz się z owym duchem jak wypuszczona strzała wbijająca się w cel.” - Juliusz Evola

Jan Kuśmierczyk – „W obliczu Nowej Ery”

Mylił się Francis Fukuyama, gdy w swoim sztandarowym dziele pisał o epoce demokracji liberalnej jako "Końcu Historii". W drugiej dekadzie XXI wieku świat zaczął się tak radykalnie przeobrażać, że prawdopodobnie już wkrótce będziemy mogli usłyszeć donośny huk, gdy porządek wykreowany przez niego i jemu podobnych myślicieli, zwyczajnie się rozpadnie. Akompaniować będą mu zapewne tłumy rozplakanych liberałów, wpatrzonych w obecny system jak w obrazek. Ale nim my - jak mniemam przeciwnicy myśli Fukuyamy - otworzymy szampana i wzniesiemy toast za rychłe nadejście Nowej Ery, warto by zastanowić się, czy nagły upadek dzisiejszego porządku światowego nie niesie ze sobą jakichś większych zagrożeń dla tego, co nam najdroższe. A jeżeli tak - jeżeli faktycznie wiatr zmian mógłby być niekorzystny dla naszego państwa, narodu, rodziny - to jakie kroki powinniśmy podjąć, by te zagrożenia zniwelować?

Jeżeli można się w czymkolwiek zgodzić ze środowiskami lewackimi, to na pewno w tym, że kryzys imigracyjny jest paliwem dla wiecznie tłącego się płomienia europejskich ruchów nacjonalistycznych. Wzrost nastrojów antyimigranckich bez wątpienia zwiększył w Unii Europejskiej poparcie dla takich inicjatyw, jak francuski Front Narodowy, Alternatywa dla Niemiec, czy różne włoskie ugrupowania neo-faszystowskie, lub na takowe pozujące. Na Węgrzech, które dość mocno odczuły największą falę kryzysu na swojej południowej granicy, wielkimi krokami po władzę w państwie zmierza nacjonalistyczna formacja Jobbik. Grecki Złoty Świt odnotowuje chyba największe sympatie wśród Hellenów od początku swojego istnienia - nie inaczej jest z ugrupowaniami narodowymi na Słowacji. Sama Unia Europejska zaś otrzymała dowód na to, że jest tworem sztucznym i niezbyt stabilnym - obecnie chwieje się i prawdopodobnie wkrótce zawali pod własnym ciężarem, jeżeli więcej państw członkowskich pójdzie w ślady uciekającej z tonącego okrętu Wielkiej Brytanii. Federacja Rosyjska, rządzona twardą ręką przez słynnego już na cały świat cywilizowany prezydenta Władimira Putina, po 25 latach od upadku Związku Radzieckiego, zdaje się wreszcie odzyskiwać należne sobie miejsce w światowej geopolityce. Tymczasem nacjonałści walczącej z Rosją Ukrainy, stają się "Włochami XXI wieku" - niczym prawdziwi pionierzy narodowej rewolucji, mogą pochwalić się faktem, że poczynili w kierunku zagłady demoliberalizmu więcej, niż jakikolwiek inny ruch narodowy w Europie. Dodać do tego tendencje anty-globalistyczne pojawiające się nawet w kolebce globalizmu - USA - i tak oto mamy przed oczami obraz najgorszego koszmaru Francis Fukuyamy. Pozornie mamy powody do radości - wszak jak pisał Adam Gmurczyk w "Rewolucji Integralnej", należy: "Myśleć lokalnie, w kategoriach narodowych, lecz działać w skali globalnej, czyli na we współpracy ze wszystkimi narodami zagrożonymi ideologią mondialistyczną (...)". W praktyce jednak nie jest już tak

kolorowo, gdy polski nacjonalista uświadomi sobie, że w całej tej radykalizującej się układance brakuje... właśnie. Polski.

W Polsce nie powstał żaden dobrze zorganizowany, ogólnopolski, radykalny ruch społeczny/polityczny, który mógłby poszczycić się jakimkolwiek sukcesem właśnie na płaszczyźnie oddziaływania na społeczeństwo. Mało tego - środowisko nacjonalistyczne w Polsce jest rozbite i stale ulega coraz większym podziałom, a w opinii ogólnopolskiej traktowane jest raczej jako "atrakcja" na scenie politycznej, czy też "wsparcie" dla obecnego rządu. Właściwie nie ma się co temu dziwić - gdy inne ruchy nacjonalistyczne w Europie małymi (lecz zwykle wspólnymi) krokami budowały swoje nadchodzące zwycięstwa, w Polsce narodowcy skupiali się na walkach o partykularne interesy poszczególnych formacji, czy w bardziej skrajnych przypadkach - interesy samych liderów. Do dzisiaj (a może nawet teraz jeszcze lepiej) widać funkcjonowanie w praktyce przysłowia: "gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania" - szczególnie zauważalny jest brak porozumienia w sprawie "kwestii ukraińskiej", czy podstaw programowych, takich jak podejście do zagadnień gospodarczych. Nie mówiąc już o sporze o tym, czy ruch nacjonalistyczny w Polsce powinien być świecki, katolicki, czy może jednak odwoływać się do czegoś zupełnie innego, jak np. idee Jana Stachniuka. Zdarza się, że nacjonaści przedkładają własne "ja" nad dobro narodowego kolektywu, prześcigając się w wymienianiu swoich zasług oraz robieniu zarzutów swoim "rywalom na scenie". Oczywiście gorzkiego smaku całości dodaje bezustanne obrażanie się jednych na drugich i coraz częstsze przeświadczenie o posiadaniu monopolu na nacjonalizm. Tymczasem największy dziś wróg - system demoliberalny - nie śpi i odnotowuje sukces przy każdym naszym potknięciu, każdym przeciągającym się sporze, każdym upadku struktur w danej lokacji. Chyba nikt nie ma wątpliwości, że jeżeli polski ruch narodowy będzie właśnie tak wyglądał, to naród polski zostanie w tyle wobec ościennych narodów wrywających się z okowów globalizmu. I być może nie będzie już dla niego miejsca w nowym porządku świata, gdy obecny się rozleci. Być może nie odnajdzie się w nowej, trudnej i wymagającej stałego, prędkiego działania rzeczywistości. Nikt jednak nie powiedział, że na Polsce ciąży jakieś przekleństwo - wystarczy nasza ciężka praca, by to zmienić. Przede wszystkim należy zacząć myśleć kolektywnie, zamiast tylko o myśleniu kolektywnym mówić. Nie liczy się moje prywatne zwycięstwo, moja sława, miejsce w Sejmie, czy poklask kolegów na koncertach muzyki tożsamościowej - liczy się wspólna sprawa! Ciężko mówić o solidarności międzynarodowej nacjonalistów, kiedy nawet w jednym narodzie tej solidarności brakuje - zatem zamiast obrażać się na "banderowskich zdrajców" albo narzekać na "ogólnopolskie szurostwo", warto próbować wypracowywać pewne kompromisy. Równie szkodliwe są dawne zażyłości między organizacjami - niech tutaj dobrym przykładem przełamywania pewnych barier będzie fakt wspólnej organizacji poszczególnych edycji turnieju

'First to Fight' przez różne środowiska, czy nawet kooperacja, jaką stanowi miesięcznik, na łamach którego mój tekst się pojawia - Szturm! I przede wszystkim - więcej cierpliwości i wytrwałego dążenia do celu wspólnie, niż rozbijania się na coraz drobniejsze ugrupowania, które z czasem ograniczą się tylko do prowadzenia kolejnej strony na facebooku. Niech każdy z nas znajdzie swoją niszę, w której jego jednostkowe talenty będą mogły przysłużyć się całości ruchu... i poświęca chociaż jeden dzień w tygodniu ze swojego napiętego grafiku na aktywizm narodowy - a wówczas być może wkrótce doczekamy się pewnego przełomu.

Nie sposób się nie zgodzić, że my - młodzi ludzie - jesteśmy dziś świadkami końca dawnej i początku Nowej Ery w dziejach ludzkości. I nie chodzi tu bynajmniej o to, byśmy mieli uczyć nasze przyszłe dzieci nowej formy datowania zdarzeń historycznych od roku 2017 począwszy. Mam tu raczej na myśli symboliczny upadek okresu post-modernizmu, który upłynął nam pod znakiem triumfu liberalizmu nad autorytaryzmem, rozkładu wartości tradycyjnych oraz chrześcijańskich, czy wreszcie epidemii swego rodzaju choroby cywilizacyjnej - poprawności politycznej. Mielśmy tam do czynienia ze społeczeństwami całkowicie oderwanymi od swojej tożsamości, ludźmi często odciętymi od naturalnych atawizmów, narodami pozbawionymi pierwiastków dających im witalną siłę. Jednak świat się zmienił - społeczeństwa zaczęły budzić się z konsumpcyjnego amoku, ludzie porzucać materializm, narody walczyć o swoje prawa. I tak oto wchodzimy w tę właśnie Nową Erę - epokę, którą nazwą nasi potomni, a która rozpoczyna się od całkowitego odwrócenia poprzednich tendencji. Nie możemy jednak siedzieć z założonymi rękami i czekać spokojnie na nadejście lepszych czasów - tylko od nas bowiem zależy to, czy będą one dla naszego narodu naprawdę pomyślne, czy raczej będą tylko przedłużeniem "odwiecznej polskiej niedoli" i poświęcania się za wolność całego świata. W roku 2017 życzę wszystkim nacjonalistom wytrwałości w pracy na rzecz swojej ojczyzny - bez małych kroków nie zbudujemy wielkiego sukcesu.

Miłosz Jezierski – „Casus szwedzki”

Ignorancja cechuje większą część ruchu nacjonalistycznego w Polsce. Pochopna ocena sytuacji w krajach szeroko pojmowanego Okcydentu jest jednym z syndromów owej choroby. Przeświadczenie o winie własnej sąsiadów z Północy czy zza Odry za doprowadzenie swoich ojczyzn do stanu wrzących etnicznych kotłów i oraz liberalnego permissywnego piekła dominuje wśród naszych środowisk. Szczególnie gdy chodzi o najbardziej posuniętą w takim kierunku Szwecję. Nic bardziej mylnego, szwedzkie społeczeństwo padło ofiarą dużego eksperymentu społecznego oraz eksploatacji ekonomicznej. Scenariusz, który zresztą zrealizowano w wielu innych krajach.

1. Fundament systemu

W 1965 obecny lider Socjaldemokracji Szwedzkiej (Sverigedemokraterna, S) Tage Erlander wyrażał aprobatę z homogeniczności etnicznej Szwecji w kontekście rasowych zamieszek w USA. Imigracja w postaci taniej siły roboczej oczywiście istniała. Jednak była to skala nieporównywalna z późniejszymi falami uchodźców. Finowie, Norwedzy, a nawet niewielkie ilości Turków. Nie groziło to w żadnym razie katastrofą etniczną czy nie zagrażało stabilności państwa. Gospodarka europejska po wojnie nabierała tempa. Szwecja jako beneficjent planu Marshalla zwiększała swój potencjał ekonomiczny, wypracowany zresztą już wcześniej w trakcie wojny na handlu żelazem. Szwedzi weszli jednak w okres prosperity. Wraz z coraz większymi zarobkami elit pojawiały się coraz większe wymagania silnych związków zawodowych. Jednym z postulatów było ograniczenie migracji tanich robotników w obawie przed utratą konkurencyjności Szwedów.

W latach 70 nastąpiła recesja. Bezrobocie i kryzys związany z mieszkalnictwem stał się ogromnym problemem. Związki nie chciały rezygnować z socjalnych zdobyczy co oznaczało, iż szwedzki robotnik był drogi czasach kryzysu. Jednocześnie związkowcy nadal stali na drodze stworzenia rezerwuaru taniej siły roboczej. Przeprowadzono więc utajnione przed opinią publiczną, której dużym wyrazicielem była klasa robotnicza, konsultacje na styku polityki oraz dużego biznesu związanego z finansjery oraz korporacjami budowlanymi. W 1975 roku premier z ramienia S Olof Palme ogłosił Szwecję krajem otwartym, multikulturowym, zgodnie z ukrywanymi przed opinią publiczną konsultacjami. Postanowienia zostały zaakceptowane przez wszystkie strony beztestamentowej sceny politycznej., bez konsultacji społecznych czy poinformowania opinii publicznej. Związki zawodowe sprzeciwiające się napływowi taniej siły roboczej zostały postawione przed faktem dokonanym, jako że kierownictwo było ideowo socjaldemokratyczne w obawie oskarżeń o rasizm i konotacje nazistowskie tak żywe po II Wojnie Światowej nie

protestowali przeciwko doktrynie rządu. Pod płaszczykiem społeczeństwa otwartego drzwi do sprowadzenia taniej siły roboczej zwyczajnie wyłamano.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki banki znalazły pieniądze na kredytowanie Szwedów poszukujących własnych czterech kątów. Dzięki spekulacjom w kryzysie ceny mieszkań poszybowały o 700 % w górę w cenie kupna, a 200 % wynajmu. Przy obniżeniu konkurencyjności szwedzkiego robotnika wobec pierwszych fal napływowych kredytobiorca zostawał uzależniony od systemu bankowego. Rozpoczęła się budowlana prosperita. Głównie dla banków i dużych firm budowlanych, jednak zaczęło znikać bezrobocie.

Status uchodźcy otrzymać mieli uciekinierzy polityczni będący ofiarami prześladowań. Pierwszą dużą grupą byli komuniści z Chile, którzy jednak tak jak poprzednio ok 2000 wydalonych na fali czystek antysyjonistycznych z polski Żydów otrzymali szybko posady w ważnych instytucjach państwowych. Kolejną falą byli Irakijczycy i Kurdowie podczas wojny iracko-irańskiej. Związki zawodowe zostały praktycznie wchłonięte jako część partii S, w zamian za obietnice ochrony szwedzkich pracowników pierwsi przybysze nie byli obejmowani prawem związkowym. Szwedzki robotnik mimo cichego sprzeciwu wobec kolejnych fal migracji swój interes upatrywał w ruchu związkowym, a ten był już marionetką w rękach socjaldemokracji. Ogłoszono pierwsze przetargi na budowanie centr azylowych. Banki hojnie kredytowały owe przedsięwzięcia i firmy, które dorabiały się na państwowych pieniądzach. Podczas gdy szary Svensson uzależniał się na całe życie od wysokich kredytów by znaleźć lokum, nowi przybysze teraz dodatkowo z Etiopii dostawali je w prezencie. Szkoły, kursy językowe i zawodowe zaczęły wdrażać programy dla imigrantów. Jedną z większych dzisiaj firm budowlanych Peab dorobiła i nadal zarabia krocie na budowaniu osiedli dla imigrantów.

2. Opór

W latach 80 imigracja nabrała tempa. Mimo wyjścia z kryzysu doktryna otwartego społeczeństwa stała się wręcz fundamentem polityki zagranicznej. Społeczeństwo zaczęło oponować. Zwłaszcza po fali uchodźców z Erytrei i Etiopii oraz zwiększającą się przestępczością w pierwszych gettach zdominowanych przez kolorowych. Bevara Sverige Svenskt (BSS, Utrzymać Szwecję Szwedzką) założona w 1979 przez Leifa Zeilona, a zalegalizowana w 1983 r była pierwszą zorganizowaną grupą oporu. BSS prowadziła akcje oraz protesty w duchu separatyzmu rasowego np. „Nie pozwól swej córce stać się murzyńską zabawką”, jednak utrzymując w mediach iż nie jest ruchem rasistowskim. W 1986 r organizacja przekształciła się w radykalną i nacjonalistyczną Partie

Szwedów (Sverigepartiet), a ostatecznie łącząc się ze środowiskami szeroko pojętej anty-systemowej prawicy w 1988 r. na fali wzmożenia protestów antyimigracyjnych utworzyło znaną dziś Szwedzką Demokrację (Sverigedemokraterna, SD).

Koniec lat 80 to również wzmożenie oporu wobec migracji. W 1988 r. w nieznanych okolicznościach zastrzelono odpowiedzialnego za doktrynę otwartego społeczeństwa Olofa Palme, bożyszcza szwedzkiej jak i jednego z ważniejszych polityków europejskiej lewicy. Rzekomym powodem było poparcie ANC w RPA, sprzeciw wobec apartheidu i przyjęcie jako uchodźców czarnych komunistów z organizacji Mandeli. W wielu regionach postulowano przeprowadzenie referendum w sprawie zatrzymania doktryny otwartych drzwi. Odbyło się jednak tylko jedno w 1988 r. w okręgu Skane, 61,5% zdobyli przeciwnicy migracji, 34% zwolennicy. Mimo to w Skane powstały kolejne azyle, a trzecioświatowej ludności stale przybywało. Rząd nie zezwolił na dalsze referenda. W latach 1987-1992 przyjmowano 20000 rocznie, co spowodowało apogeum protestów w latach 1991-1992. Doszło do fal obustronnej przemocy, spalono lub zaatakowano 117 centrów azylowych. Na ulicach zapanowała obustronna przemoc. Na co radykalnie zaczął reagować szwedzki rząd.

W 2000 r. rządowa kampania antyrasistowska stała się bardzo radykalna. Ówczesny premier Göran Persson powiedział, że rasizm musi zostać wypleniony. Imigranci czuli się bezkarni atakując nacjonalistów i przeciwników imigracji. Doszło wtedy do brutalnego morderstwa Daniela Wrestroma. Rozbudziło to nastroje antyimigranckie. Daniela nazwano nowym Horstem Wesselem, a marsz w Salem, dzielnicy Sztokholmu, w której go zamordowano przez kilka następnych lat gromadził tysiące nacjonalistów z całej Europy. Mimo to mordercy Daniela otrzymali wyroki, które były szyderstwem z wymiaru sprawiedliwości. Rząd przemilczał sprawę. Nowa fala antyimigrancka miała jednak tendencje wzrostową. SD w 2002 r. pierwszy raz uzyskała najlepszy wynik spośród partii, które nie znalazły się w parlamencie, w 2006 powtórzyła wynik, a od 2010 jest częścią parlamentu szwedzkiego przy ciągle rosnącym poparciu. Szacuje się że w 2018 roku S wraz z centroprawicową Moderaterna mogą założyć koalicję wyborczą przeciwko szwedzkim Demokratom. SD w ciągu lat złagodziła jednak radykalny przekaz prawie całkowicie z niego rezygnując. Nie posiadają wyraźnych postulatów ekonomicznych, co przy starciu z S mająca związki zawodowe, think-tanki, specjalistów, koła naukowe jak i całe uczelnie wypada mizernie. Mimo tego poparcie rośnie.

Godnym odnotowania faktem jest wzrost uczestników antyimigracyjnych demonstracji organizowanych przez radykalną organizację Nordycki Ruch Oporu (NMR), która na swoim

ostatnim marszu zgromadziła ok 1000 osób. Od ostatniego marszu w Salem w 2012 inicjatywa nacjonalistyczna nie przyciągnęła większej liczby uczestników. Popularne stały się również wiece SD. Powoli wzrasta też popularność odrodzonej Nordyckiej Młodzieży (Nordisk Ungdom), znanej z małych, ale spektakularnych akcji.

3. Temperowanie opornych

Słusznie oceniając anty imigranckie wystąpienia jako zjawisko wzrostowe rząd wdrożył strategie rozgrywania protestujących organizacji oraz wystąpień. Poza ciężkimi karami więzienia za przestępstwa na tle rasowym stosowano inne metody, głównie ekonomiczne oraz medialne. Osoby zaangażowane w ruch oporu wobec społeczeństwa otwartego otaczano społecznym ostracyzmem. Potępiano w mediach, nagłaśniano, prowadzono kampanie oczerniające. Na pracodawców nalegano by zwalniano takie osoby, usuwano ze związków. W efekcie szwedzki robotnik zostawał często z dużym kredytem na karku, wilczym biletem jako bezrobotny lub splajtowany biznesmen, którego zabiły kontrole oraz bojkoty konsumenckie. Państwo często nie reagowało na akty przemocy wobec działaczy anty imigranckiej opozycji. Sprawcy pozostawali nieznani lub dostawali niskie wyroki.

Oprócz stałej taktyki zastraszania ekonomicznego coraz częściej stosuje się argument siły. Podczas protestu wobec afery tzw. Gotlandgate, gdzie afgańscy azylanci dokonali brutalnego gwałtu na niepełnosprawnej wydano zakaz kursowania promów na wyspę, gdyż obawiano się wsparcia protestujących spontanicznie Szwedów. Wysłano natomiast siły policyjne, w znacznej liczbie w celu pacyfikacji demonstracji. Siły policyjne coraz częściej używają bezkarnie siły wobec nacjonalistów. Podczas demonstracji NMR dotkliwie pobity przez policje został działacz tej organizacji, który znalazł się w stanie krytycznym w szpitalu. Nacjonaści próbowali dołączyć do demonstrujących, których siły porządkowe rozdzieliły na dwie grupy nie podając wyraźnego powodu. Konsekwencji wobec funkcjonariusza nie wyciągnięto. Innym przykładem jest zachowanie policji wobec milicji obywatelskiej stworzonej w dużej mierze ze środowisk kibicowskich podczas muzułmańskich zamieszek w 2013 r. Obywatelskie patrole były zatrzymywane, podczas gdy za plecami porządkowych kolorowi przybysze urządzali dzikie harce i grillowali szwedzkie auta. Warto zwrócić uwagę na równoczesną omnipotencję sil porządkowych w strefach tzw. no go. Szef szwedzkiej policji, który jest członkiem S wyrażał bezradność wobec narastającej przestępczości, przemocy oraz fali gwałtów. Zwracał uwagę na siły policyjne jako niewystarczające. Gdy jednak chodzi o protesty Szwedów sytuacja wydaje się inna. Większość okolicznych sił policyjnych jest ściągana by powstrzymać niebezpiecznych nazistów. Z kolei zmniejsza się popularność policji wśród białych rekrutów. 8 na 10 policjantów chce odejść ze

służby, a polityka socjaldemokratów kieruje się na tory zwiększenia naboru wśród kolorowej części społeczeństwa.

4. Propaganda i pranie mózgów

Multikulturalizm sączy się w mózgi szwedzkie z każdego zakątka przestrzeni publicznej. Plakaty propagujące mieszane pary spotykamy na każdym rogu. Kampanie antyrasistowskie, artyści zaangażowani mają darmowe przestrzenie reklamowe od tuneli metra po banki i restauracje. Duże kampanie antyrasistowskie są aktywnie prowadzone również w mediach, których większość należy do koncernu Schibsted. Aftonbladet najbardziej poczytną gazetą opiniotwórczą o profilu lewicowo liberalnym czy Blocket, portal aukcyjno-ogłoszeniowy będący praktycznym monopolistą produkującym reklamy z przesłaniem proLGBT lub wspierającym imigrację. Wszystko jest w rękach koncernu, którego głównymi udziałowcami są Goldman Sachs, JP Morgan czy Bank of New York Mellon.

Przykładem uzależnienia finansowego od politycznej poprawności jest kampania antydyskryminacyjna sieci restauracji MAX pod hasłem „Bez różnorodności nie ma zysku”. Akcja miała na celu zmienić wizerunek sieci, którą Szwedzi odbierali jako narodową, pozostająca w szwedzkich rękach i alternatywę dla zagranicznych korporacji jak McDonald's czy KFC. W przestrzeni medialno-publicznej zdominowanej przez politpoprawne elity odbierano to jako przejaw nacjonalizmu. Jednym z punktów programowych kampanii było przyjmowanie azylantów bądź kolorowych obywateli zamiast Szwedów.

Głośnym przykładem z ostatnich miesięcy była reklama firmy odzieżowej Lhleens. Murzyński chłopiec w przebraniu św. Lucii, która tradycyjnie jest portretowana przez blond dziewczynkę wzbudził wiele kontrowersji. Na akcje nacjonalistów, m.in. NU oraz protesty zwykłych Szwedów odpowiadano zarzutami o rasizm oraz debatą pod szyldem antydyskryminacyjnym, nie tyle ze względu na rasę, co i na płeć pt. „Każdy może być Lucią”. Podobna sytuacja miała miejsce po pacyfikacji gotlandzkich protestów. Zamiast debaty nad wzrostem przestępczości (w 2016 roku liczba gwałtów wzrosła o 13 % w stosunku do 2015) zorganizowano antyrasistowski wiec, w mediach na uniwersytetach rozprawiano o odradzającym się nazizmie i zagrożeniu białą supremacją. Niezależne organizacje lewackie są hojnie dotowane przez rządzących, a zarazem

gotowe na każde zawołanie by sporządzić kolejną antyrasistowską akcję zaraz po głośnym przestępstwie dokonanym przez kolorowe mniejszości czy demonstracji antyimigracyjnej.

Sfera kultury została zawłaszczona przez lewice kulturową. Jedną z największych kampanii społecznych oprócz przemocy wobec kobiet, oczywiście z ukierunkowaniem wobec białych brutalni, jest szereg filmów pro imigracyjnych puszcanych w przerwach reklamowych. Zbiegło się to z wystawą fotograficzną ochoczo pokazywaną w każdym szwedzkim muzeum, której główną tematyką było zwrócenie uwagi na los uchodźców. Dużym zainteresowaniem mediów cieszy się spektakl Lo Kauppi „Biały gwałt”. Autorka zwraca uwagę, iż w szwedzkiej społeczności szansa na gwałt z rąk białego jest większa niż osobnika z ciemniejszym pigmentem. Problemem są jednak zaniżane, jednak nadal nieprzychylnie dla kolorowej mniejszości statystyki kryminalne. To tylko kilka przykładów z przeciągu dwóch miesięcy.

Większość Szwedów glosuje portfelem, co za tym idzie są uzależnieni od banków oraz związków zawodowych. Te ostatnie są zwyczajnym skrzydłem S, mimo przeciwnych poglądów w kwestii imigracji sukces wyborczy socjaldemokracji wiąże się z impasem ekonomicznym.

5. Dwa światy

Elity szwedzkie i klasa wyższa już dawno pożegnała się z rzeczywistością, w której przyszło żyć ich mniej zamożnym rodakom. Politycy, biznesmeni, ważni urzędnicy mieszkają na grodzonych osiedlach często mono etnicznych. Z poziomu swych twierdz nie zauważają brutalnej prawdy, która powoli wkracza do ich wyidealizowanego opływającego komfortem świata. Rozszerzające się strefy no go nie są ich problemem. Szczytem beczelności są komentarze, iż ten kto ma pieniądze nie musi się przejmować. Równocześnie grupa ta jest głównym zwolennikiem imigracji. Zawsze można wziąć kredyt i zamieszkać na nowym osiedlu. Problemem jest nowy plan rządu, który chce lokować część kolorowej mniejszości do nowych budynków mieszkalnych. W celu szybszej integracji społecznej. Podziały są coraz wyraźniejsze. Biali Szwedzi wybierają białe dzielnice kosztem ogromnego zadłużenia. Istnieje podział na białe i kolorowe dzielnice. Coraz częściej uwidacznia się to również w kwestiach towarzyskich. Usilna socjalizacja rodzi tylko nowe protesty. Ostatnie lata to największy odpływ młodych Szwedów do USA, Australii czy nawet Europy Środkowej.

Wszystkie najważniejsze miasta szwedzkie są w europejskiej czołówce jeżeli chodzi o wskaźniki przestępczości. Malmö, w którym większość mieszkańców to imigranci, liczące ok 300000 ludności jest jednym z najbardziej znanych w Europie kryminogennych miejsc. Zwanym tu

potocznie Bang-Bang City. Ze względu na częste strzelaniny i inne porachunki oraz zabawy ubogacających kulturowo Europe.

Jeszcze większym niezrozumieniem darzy się same mniejszości, które nie chcą zupełnie przejmować szwedzkiej tożsamości, a wręcz nią gardzą. Nowo urodzeni potomkowie dawnych imigrantów nie uznają się za Szwedów. W dużej mierze są synami swych ojców i buntują się przeciwko narzuconej tożsamości. Głównym fundamentem ich autoidentyfikacji jest tożsamość etniczna, nie można ukryć że również rasowa. Przystępczość, zgettoizowanie oraz hermetyczne diaspory tworzą z nich coraz bardziej tajemnicza i trudna do rozpracowania społeczność. Do tego dochodzi silny instynkt samozachowawczy i mentalność przetrwania w konfrontacji ze społeczeństwem szwedzki, które nie prowadziło wojen od 200 lat ludzie sprowadzeni z terytoriów rozgrywających swoje konflikty brutalnie zwyczajnie walczą o swoje miejsce w społeczności za pomocą znanych im metod. Przenoszą swoje zwyczaje, które cywilizowanym szwedom wydają się dzikie, jednak w ich rzeczywistości są normalne. Są zdziwieni gdy wobec ich wybryków nie jest stosowana przemoc. Czują się więc zachęcani do dalszych ekscesów. Mentalność zdobywców, najeźdźców. Mimo, iż są tradycjonalistami, w dużej mierze muzułmanami tworzą żelazny elektorat liberalnej lewicy. Ze względów ekonomicznych, różnice światopoglądowe nie grają roli. Partie lewicowe są nasączone muzułmańskimi reprezentantami, którzy i tak wygrywają walkę o ich postulaty. Najgłośniejszym przypadkiem jest casus Mehmeta Kaplana, członka partii Zielonych oraz eksministra budownictwa mającego bliskie związki z tureckimi Szarymi Wilkami.

W 2014 roku na S głosowało 54, 8 % muzułmanów, na Zielonych 27,7 %, komunistów 8,8%. Razem ok 90 % wyznawców Proroka poparło lewice. Muzułmanie to 17 % społeczeństwa szwedzkiego. Wspomnieć należy , że nie wszyscy kolorowi są wyznawcami islamu, a większość z nich to wyborcy lewicy. Od 2014 roku nie prowadzono również szacunków wśród nowo przybyłych azylantów. Wiadomo natomiast ze ok 170000 otrzymało azyl w 2016. Jednak przybyłych było o kilkadziesiąt tysięcy więcej, nie ustalono ich statusów.

6. Wnioski

Szwecja jest przykładem realizacji scenariusza znanego we wszystkich niemal krajach Okcydentu. Nie raz stawał się obiektem rozpraw benoistowskiej Nowej Prawicy czy dzisiejszego środowiska zwanego AltRight. Transformacja multikulturowa w etniczny kocioł przebiega w kilku etapach. Stopniowe sprowadzanie taniej siły roboczej, rodzenie się pierwszych oznak oporu. Neutralizacja odgórnych mechanizmów obronnych w porozumieniu biznesu z polityką.

Uzależnianie społeczeństwa od instytucji socjalnych podpiętych pod partie rządzące wraz z popadaniem w kredytowe sidła finansjery. Stąd już tylko krok od społeczeństwa otwartego i stopniowej pacyfikacji oporu oddolnego. Zazwyczaj słabo zorganizowanego przez zaskoczone społeczeństwo. Ekonomicznie, siłowo i poprzez propagandę wygasza się opornych. Zasadniczo pierwsze, fundamentalne decyzje podejmuje się bez wiedzy i ponad głowami obywateli, którzy pozbawianie oddolnych inicjatyw hamulcowych taki proces mogą za chwile obudzić się w multikulturowym koszmarze.

Polska znajduje się w tym momencie tam gdzie Szwecja w latach 60-70, z tą różnicą, że nasze elity oraz nacjonaliści, którzy mają wahadło odbite w ich stronę znają scenariusz zrealizowany na zachodzie Europy. Nasza gospodarka rozwija się dynamicznie, mimo że nadal nie posiadamy poziomu życia porównywalnego do Szwecji. To słyszy się głosy o potrzebie sprowadzenia taniej siły roboczej. Szczęściem w nieszczęściu znaleziono jej rezerwuar w kraju zbliżonym etnicznie i kulturowo, na Ukrainie. Jednak nie są to planowane tysiące, a miliony. To może rodzić słuszne przerażenie. Upominają się o nich biznesmeni w porozumieniu z politykami, którzy przewidują dogodne warunki życia przybyszom, fundowane podobnie jak w Szwecji z kasy państwa. Czy pierwszy etap mamy już za sobą? Kwestiis czasu będzie multirasowe i kulturowe społeczeństwo otwarte? Ile jeszcze potrwa moda na patriotyzm i jak długo utrzymamy wahadło ideowe po naszej stronie? Czy zdążymy wykształcić system immunologiczny? Czy uda nam się to zrobić bez popadania w kretyński i prymitywny szowinizm? Może to właśnie ostatnia szansa na reakcję, wszak historia się jeszcze nie skończyła.

Tomasz Kosiński – „Socjaliści opuszczają NSDAP – tłumaczenie pierwszego manifestu Czarnego Frontu z 4 lipca 1930 roku”

W nawiązaniu do biografii oraz tez „narodowej rewolucji” Otto Strassera, które ukazały się w lipcowym numerze pisma „Szturm” prezentuję tłumaczenie pierwszego manifestu Czarnego Frontu. Artykuł został opublikowany 4 lipca 1930 roku. Celem tłumaczenia jest ukazanie, iż narodowy socjalizm w „okresie nazistowskim” nie był ruchem jednolitym. Istniały grupy, które nie wspierały, ale otwarcie występowały przeciwko polityce prowadzonej przez przywódcę NSDAP i jego najbliższe grono współpracowników.

T.K.

Konflikt pomiędzy braćmi Strasser, a tzw. „południem NSDAP” (któremu przewodniczyli m.in. J. Streicher i A. Rosenberg) toczył się od mniej więcej 1924 roku. Socjalizm o zabarwieniu narodowym „północy” zmierzył się z antysemitką demagogią tworzoną w Bawarii. Od tego czasu konflikt przybierał na sile. Mimo sukcesów politycznych frakcji strasserowskiej, doskonałej organizacji północnego organu partii, ostatecznie zatriumfowała druga opcja.

Bracia Strasserowie (zwłaszcza młodszy Otto) wraz Josephem Goebbelsem wspierali liczne strajki robotnicze, promowali idee nacjonalizacji przemysłu, jak i banków. Ich radykalny antykapitalizm zagrażał bogatym sponsorom partii nazistowskiej (głównie arystokracji niemieckiej i właścicielom koncernów przemysłowych) o których względy zabiegali m.in. Adolf Hitler, czy Heinrich Himmler. Pozytywny stosunek do bolszewickiej Rosji oraz brak zainteresowania kwestiami rasowymi doprowadziły do poważnego sporu w partii.

W 1927 roku Joseph Goebbels opuścił braci Strasser i przyłączył się do Hitlera. Zyskując dzięki temu poważne stanowisko w strukturach NSDAP. W 1928 roku na zjeździe przywódców partyjnych w Monachium Hitler wezwał do bezwzględnej dyscypliny wewnętrznej w NSDAP. Było to działanie wymierzone w „zbuntowaną północ”

W 1929 roku Strasserowie opublikowali „14 tez rewolucji niemieckiej” - manifest przeciwko postanowieniom Wersalu i ówczesnemu systemowi Republiki Weimarskiej. Adolf Hitler starał się podzielić braci i zatrzymać przy sobie Gregora. Udało mu się. W latach 1928-1932 starszy z braci pełnił funkcję *Reichsorganisationsleiter* (szefa organizacyjnego partii). Otto pozostał sam na polu walki gromadząc wokół siebie zwolenników socjalizmu narodowego. Przyglądając się polityce

partii – układom z bogatymi przemysłowcami i arystokracją, fanatycznemu antysemityzmowi, pędowi do władzy za wszelką cenę – postanowił opuścić partię w lipcu 1930 roku. Powołał Związek Rewolucyjnych Narodowych Socjalistów (*Kampfgemeinschaft Revolutionärer Nationalsozialisten*) zwany Czarnym Frontem (*die Schwarze Front*). 4 lipca 1930 roku opublikowano manifest nowej formacji.

T.K.

Der Nationale Sozialist, 4 VII 1930 r.

Socjaliści opuszczają NSDAP

Czytelnicy, członkowie partii, przyjaciele!

Z głębokim niepokojem obserwowaliśmy rozwój NSDAP. Wzrosły nasze obawy, ponieważ partia wystąpiła przeciwko idei narodowego socjalizmu.

W wielu kwestiach polityki zagranicznej, wewnętrznej, a przede wszystkim polityki gospodarczej postawa partii zaskakuje. Doszło do rozbieżności między 25 punktami (pierwszy program DAP, z którego powołano później NSDAP-przyp. tłum), w których widzieliśmy jedyny program partii. Jeszcze trudniej było uwierzyć w gwarancje dawane przez partię, jej taktyczne manewry oraz postępującą liczbę bonzów w strukturach, co stanowiło cel sam w sobie i okazało się ważniejsze od programu partyjnego.

Pojmowaliśmy i pojmujemy narodowy socjalizm, jako świadomy antyimperialistyczny ruch, który wyznaczany jest przez nacjonalizm i dzięki niemu gwarantuje trwałość i rozwój narodu niemieckiego bez tendencji dominacji nad innymi narodami i krajami. Dla nas było i jest nadal aktualne odrzucenie międzynarodowego kapitalizmu i imperializmu, odrzucenie zachodniej, interwencyjnej wojny przeciwko Rosji. Wynika to z naszych poglądów, jak i z potrzeb niemieckiej polityki zagranicznej. Dlatego uważamy, że otwarte parcie do wojny interwencyjnej jest zgodne z obecną linią partyjną, a sprzeczne z ideą oraz wymaganiami niemieckiej polityki zagranicznej.

Dla nas było i jest nadal aktualne wsparcie walki indyjskich ludów o wolność, o uwolnienie się od brytyjskich rządów i kapitalistycznego wyzysku. Konieczność ta wynika z faktu, że dla niemieckiej polityki jakiegokolwiek osłabienie mocy Wersalu jest korzystne. Wsparcie walczących narodów

przeciwko eksploatującym je uzurpatorom jest niezbędne w związku z naszą ideą nacjonalizmu. Prawo do samostanowienia, dla siebie, dla wszystkich innych ludów i narodów jest nieznane liberałom. Dlatego rozumiemy linię polityczną partii, która jest otwarta dla brytyjskiego imperializmu przeciwko walce o wolność Indii, a także przeciwko rzeczywistym interesom Niemiec jako idei sprzecznych z narodowym socjalizmem.

Rozumieliśmy i nadal rozumiemy iż narodowy socjalizm ze swej natury jest wielko –niemieckim ruchem narodowym, którego zadaniem jest stworzenie Wielkich Niemiec, które powstaną w skutek odrzucenia dynastycznej, religijnej lub arbitralnej (interwencja Napoleona!) władzy indywidualnej. Jest to konieczne do wyzwolenia i samostanowienia Niemiec. Czuliśmy, że w związku z obecną linią partii w stosunku do systemu państw (zachodnich – przyp. tłum.) narodowy socjalizm został uznany za tak samo szkodliwą dla interesu narodowego ideę, jak idea zjednoczenia Niemiec.

Pojmowaliśmy i pojmujemy narodowy socjalizm jako ruch republikański, w którym monarchia dziedziczna powinna posiadać jak najmniej miejsca oraz jak najmniej przywilejów, które nie są zbudowane o osiągnięcia całego narodu. Widzieliśmy i widzimy w nim ruch rewolucyjny oparty na podstawie państwa autorytarnego, niszczącego formalną demokrację oraz na organicznej, federacyjnej demokracji germańskiej. Dlatego odnosimy wrażenie, że kierownictwo partii celowo utrzymuje republikańsko-monarchistyczny półmrok jako ciężar nadmiernego szacunku dla faszystowskiego państwa autorytarnego. Jak zawsze popiera to bardziej znaczącą część oficjalnych organów partyjnych, nie jako zagrożenie dla ruchu, a jako grzech przeciwko idei.

Uważaliśmy i uważamy narodowy socjalizm przede wszystkim za wielką antytezę międzynarodowego kapitalizmu zawierającego w sobie zbezczeszczoną marksistowską ideę socjalizmu jako ekonomii społecznej narodu dla dobra i tego narodu i tego systemu. Opartego o zasadę dominacji pieniądza, brak przerw w pracy, które w nieunikniony sposób zapobiegają rozwojowi narodowej duszy i tworzeniu prawdziwej wspólnoty narodowej.

Dla nas socjalizm oznacza gospodarkę narodową która jest udziałem całej rzeszy wytwórców, posiadaczy, którzy zarządzają i czerpią zyski z całej gospodarki tego kraju. Stanowi on następstwo załamania monopolu obecnego systemu kapitalistycznego, a zwłaszcza załamania linii monopolu, który jest związany z obecnym stanem posiadania. W przeciwieństwie do 25 punktów w dalszym ciągu oczekujemy formułowania naszej socjalistycznej woli, dotrzymania socjalistycznych postulatów zawartych w programie (np. jak w pkt 17) . Mimo przestępstw przeciwko idei i programowi narodowego socjalizmu, my nadal, od lat podkreślamy nasze socjalistyczne postulaty.

Czuliśmy i czujemy narodowy socjalizm w całej jego istocie jako wrogie nastawienie do kapitalistycznej burżuazji oraz międzynarodowego marksizmu, który sprowadził marksizm do fałszywej doktryny liberalnej i internacjonalizmu. Natomiast burżuazja sprowadziła nacjonalizm do liberalizmu i racjonalizmu. Kapitalizm, zarówno jego prawo i wewnętrzne siły muszą pozostać nieplodne w tym niefortunnym związku dla narodu i historii. Pozostaliśmy w opozycji do marksizmu i burżuazji, według nas nie ma żadnej różnicy między nimi ze względu na istotę ich działania na rzecz liberalizmu, co czyni je w równym stopniu naszymi wrogami. Dlatego uważamy, że jednostronny okrzyk bojowy NSDAP "Przeciw marksizmowi" odnosi się tylko połowicznie do istoty problemu. Coraz bardziej obawiamy się, że partię łączy to samo hasło co burżuazję, która reprezentuje interesy kapitalistyczne, z którym nie mieliśmy nic wspólnego i nie mamy nic wspólnego.

Wzmocnione, podkreślone i uwypuklone były obawy o fundamentalny charakter NSDAP i sposób działania partii.

Od dawna napełniał nas żal i niezadowolenie, że Adolf Hitler często spotykał się z czołowymi kołami przedsiębiorców i kapitalistów w sprawie celów i zadań narodowego socjalizmu, ale nigdy nie miał okazji do takiej samej działalności pośród czołowych kręgów robotniczych i chłopskich. Tak więc okazało się, że narodowy socjalizm partii będąc bliżej jednych kręgów, nie dostrzegał poważnych problemów innych. Uczciwość naszej socjalistycznej idei wymagała wykluczenia możliwości porozumienia z tymi kręgami, jednak ochrona praw kapitalistów była ważniejsza i wciąż jest. Cele przy wdrażaniu socjalizmu były nieodzowne.

Z tego samego powodu przyglądaliśmy się z rosnącym niepokojem ścisłej współpracy NSDAP z Niemiecką Narodową Partią Ludową, częścią Stahlhelmu oraz tzw. patriotami, ponieważ wszystkie te sojusze- nawet jeśli są zawarte ze względów taktycznych i możliwe wtedy do przyjęcia - mogą dać fałszywy obraz naszej idei.

Fundamentem rewolucyjnego charakteru narodowego socjalizmu było i jest dla nas odrzucenie wszelkiego kompromisu oraz trwałych koalicji politycznych, ponieważ każda koalicja zawsze służy jedynie do podtrzymania istniejącego systemu, nie do obalenia systemu ucisku narodowego i kapitalistycznego wyzysku. Wydaje nam się, że istota narodowego socjalizmu, jego zadanie to: realizacja rewolucji niemieckiej, która była po prostu niemożliwa pod hasłem „zmobilizowania

całego narodu”. Zrobiliśmy to dwa lata temu, gdy wraz ze Stahlhelmem z całą gwałtownością włączyliśmy się w walkę rewolucyjną.

Decyzja kierownictwa partii (NSDAP – przyp. tłum), aby utworzyć rząd koalicyjny z burżuazyjnych partii w Turyngii, zachwiała naszą wiarę w naszą koncepcję natury i zadań narodowego – socjalizmu. Nasze dawne zarzuty pozostały bez odpowiedzi. Zatem NSDAP było w takiej samej sytuacji jak SPD w 1918 roku, kiedy zdecydowała się porozumieć z wrogami swej polityki gospodarczej i nieuchronnie zdradziła swoje cele polityczne. Nieubłaganą konsekwencją zdrady idei w partii nazistowskiej, był m. in. wzrost czynszów w Turyngii.

Zarzut, że trzeba uważać na prześladowania ze strony państwa, jest nie tylko zły – jak to ma miejsce w Bawarii i Prusach - ale osłabia zwłaszcza odwagę i charakter ruchu, ponieważ ten argument tchórzostwa może nakłaniać do zdrady. Dalej taktyka i jej stosowanie doprowadza nas do końca. Kierownictwo partii opuściło ze względów "taktycznych" coraz więcej i coraz bardziej istotnych kwestii zasad narodowego socjalizmu.

Wraz z dojrzewaniem ruchu wyłonili się również partyjni bonzowie, których ilość przybrała wręcz przerażające formy. Nie tylko tak zwani wyżsi dowódcy SA, ale także coraz częściej polityczni funkcjonariusze partii łamali odpowiednie postawy oraz ich sposób życia kolidował z wewnętrznymi przepisami ruchu rewolucyjnego, stał z nimi w sprzeczności. W miarę upływu czasu stanie się niemal pewne, że dotknie to wszystkich funkcjonariuszy partii i jej lidera. To doprowadzi do materialnej korupcji idei, którą widział każdy członek partii tłumiąc w sobie wzrost goryczy, nie będąc w stanie zaradzić sytuacji w całej strukturze organizacji. Liczne błędy w prowadzeniu prywatnego sporu w partii mają swoje głębszą przyczynę.

Rozwój tego problemu, który obserwujemy z niepokojem w najbardziej podstawowych sprawach takich jak decyzje taktyczne i organizacyjne zauważyliśmy jako pierwsi w ostatnich latach, ostrzegając naszych przeciwników. Pięć lat od powstania *Nationalsozialistischen Briefe* nadal dajemy świadectwo swoją postawą niezależnie od nacisków z góry. Niedawno dowiedzieliśmy się, że powinniśmy zmienić naszą postawę w odniesieniu do tych zachowań, z którymi tak często mamy do czynienia. Czy również nie komentować poszczególnych, poważnych naruszeń kierownictwa partii, w których narodowy – socjalizm nie musiał zająć stanowiska w przestrzeni publicznej.

Jeśli nie zrobimy tego dzisiaj, to tylko dlatego, że kierownictwo partii otwarcie nie zaprzecza 25 punktom. Mamy nadzieję, że duch rewolucyjny żyje nie tylko w masach SA, ale przede wszystkim

pośród młodych, dzięki którym zatriumfuje nad burżuazyjną mentalnością partyjnych bonzów (NSDAP – przyp. tłum).

Nasza nadzieja nie spełniłaby się poprzez akt partyjnej woli.

Berliński gauleiter NSDAP pismem Adolfa Hitlera z dnia 30 czerwca został poproszony o „bezwzględną czystkę” w partii ze wszystkich „salonowych bolszewików”.

W związku z tym doszło do wystąpienia przeciwko znanym członkom partii o nastawieniu socjalistyczno – rewolucyjnym.

Tak więc odejście NSDAP od celów i wymagań niemieckiej rewolucji oraz socjalistycznych elementów programu zostało potwierdzone przez część kierownictwa.

Jako wierni zwolennicy rewolucji niemieckiej odmawiamy jakichkolwiek wystąpień przeciwko rewolucyjnemu charakterowi socjalizmu oraz przeciwko nacjonalistycznym zasadom narodowego socjalizmu, a teraz pozostaniemy poza NSDAP tymi, którymi zawsze byliśmy.

Rewolucyjni narodowi – socjaliści

Otto Strasser

Buchrucker, Herbert Blank,

Kurt Brandt, Rudolf Manske,

Sektion Neukölln, Sektion Neukölln,

Paul Brinkmann, E. Mossakowsky,

Ortsgruppe Lehnitz, Schriftleiter d. Nat. Soz.

Bernhard Eger, Pressekonferenz,

Sektion Friedenau, Alfred Raeschke,

Paul Gallus, Sektionsleiter, Sektion Neukölln,

Sektion Lichterfelde-Lankwitz, Rudolf Raeschke,

F. Gaudek, Sektion Neukölln,

Ortsgruppe Brieselang, Friedrich Reich,

Grieksch-Franke, Straßen-Zellen-Leiter

Ortsgruppe Potsdam, Sektion Friedenau,

Friedrich Herrmann, Richard Schake,

Sektion Wilmersdorf, früher Hitler-Jugend-Führer,

Albert Jacubeit, Gau Mecklenburg-Lübeck,
Straßen-Zellen-Leiter Ewald Stephan,
Sektion Friedenau, Ortsgruppe Brieselang,
Kaumm, Karl Vogt,
Sektion Neukölln, Sektion Britz,
Willern Korn, Horst Wauer,
Leiter der nationalsoz. Sektion Friedenau,
Führerschulen Brandenburg Wetering,
Günther Kübler, Alfred Wildies,
Gau Brandenburg, Sektion Neukölln,
G. Zawacki,
Sektion Pankow.

Adam Busse – „Błękitna Dywizja na froncie wschodnim 1941 – 1943”

Historia 250. Infanterie Division (spanische), hiszpańskiej formacji ochotniczej znanej nam pod nazwą Division Azul lub z polską tłumacząc – Błękitnej Dywizji, jest jednym z najbardziej chlubnych i godnych chwały wątków związanych z frontem wschodnim II wojny światowej, a dokładniej – udziałem europejskich ochotników w walce ze wspólnym wrogiem Europy, jakim był Związek Sowiecki i ideologia komunistyczna, oparta na kolektywizmie gospodarczym, kulcie wodzów rewolucji (Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina), represyjnym aparacie przemocy (symbolizowanym przez NKWD, stalinowskie obozy zagłady na Syberii, Kołymie, Workucie i Czukotce, spływające krwią więzienia śledcze), finansowaniu i wspieraniu lokalnych komórek Kominternu bądź partii komunistycznych w każdym zakątku Europy, niszczeniu Tradycji, religii, wolności oraz bezwzględny posłuchu obywateli wobec przywódców i oficjalnej linii partyjnej. To właśnie Europejczykom przyszło w 1941 roku stanąć kolejny raz przeciw tak krwawemu i bezwzględny wrogowi, który już pokazał, co potrafi w trakcie wojny domowej w Rosji, przewrotów rewolucyjnych w Niemczech, Bawarii, na Węgrzech i w Finlandii, powstania tambowskiego, wojny polsko – bolszewickiej lat 1919 – 1921, kolektywizacji gospodarczej na ziemiach „sowieckich” oraz – co bliższe Hiszpanom – wojny domowej w Hiszpanii z lat 1936 – 1939. Po operacji „Barbarossa” i pierwszych masowych porażkach Armii Czerwonej na froncie wschodnim coraz więcej ochotników pragnęło dołączyć do krucjaty przeciw bolszewizmowi, na której czele stała III Rzesza i włożyć swój wkład w pokonanie czerwonej hydry. Wśród tych narodów byli również i Hiszpanie, którzy pragnęli pomszczenia ofiar czerwonego terroru z okresu wojny domowej.

O historii Błękitnej Dywizji, coraz bardziej popularnej w polskiej historiografii, napisano już co nieco – wystarczy przywołać publikacje Wojciecha Muszyńskiego, Tadeusza Zubińskiego czy Marcina Gawędy. Prócz nich w swoich rozważaniach na temat Division Azul oprę się również na publikacji Xaviera Moreno Julii, przetłumaczonej na język polski i wydanej w 2009 roku oraz artykułach i tekstach ze stron internetowych. Tu należy od razu zaznaczyć, iż Błękitna Dywizja była jedną z niewielu europejskich formacji ochotniczych, które na froncie wschodnim nie splamiły się zbrodniami wojennymi, co może być pewnym szokiem badawczym dla nas jako Polaków, przyzwyczajonych przez dziesiątki lat do zero – jedynkowego myślenia na temat II wojny światowej.

„Russia es culpable!”

Te słowa wyszły z ust Ramona Serrano Sùñera, ministra spraw zagranicznych Hiszpanii z lat 1939 – 1942. Przemówił on 24 czerwca 1941 roku, gdy ulicami Madrytu przeszła wielotysięczna

demonstracja, organizowana przez działaczy Falangi Hiszpańskiej, której uczestnicy wyrażali gotowość do walki ze Związkiem Sowieckim. Madrycki dziennik „ABC” relacjonował wówczas te wydarzenia: *„Kiedy tłum dotarł pod siedzibę Sekretariatu Generalnego Partii, na balkonie pojawił się Przewodniczący Rady Politycznej Falangi i Minister Spraw Zagranicznych Ramona Serrano Suner, który przemówił do zebranych: Towarzysze! To nie czas na przemówienia. Ale aby Falanga wyraziła się w tym momencie jednoznacznie: Rosja jest winna! Winna naszej wojny domowej! Winna śmierci Jose Antonio, naszego założyciela! I winna śmierci wielu towarzyszy poległych w tamtej wojnie na skutek agresji komunistycznej!”* Hasło „Rosja jest winna!” zostało szybko podchwycone przez rozentuzjasmowany tłum.

Podobne manifestacje przeszły we wszystkich większych miastach Hiszpanii. To pokazuje, jak bardzo szeroki był antybolszewicki entuzjazm, tak równolegle głębokie było przekonanie o potrzebie zachowania neutralności w II wojnie światowej, co z przekonania popierał Francisco Franco. Mimo wysłania Błękitnej Dywizji na front, Hiszpania pozostała neutralna.

Manifestacje te wybuchły spontanicznie, były one efektem złożenia ministrowi spraw zagranicznych III Rzeszy, Joachimowi von Ribbentropowi, 22 czerwca 1941 roku (kilka godzin po rozpoczęciu wojny niemiecko – sowieckiej) przez rząd gen. Franco oficjalnej propozycji utworzenia hiszpańskiej jednostki, która u boku Wehrmachtu miałaby wziąć udział w walkach na froncie wschodnim. Można przypuszczać, iż ten pomysł wyszedł od wspomnianego już powyżej ministra Sùñera, który oprócz tego, że pełnił urząd ministra spraw zagranicznych, był szwagrem i bliskim współpracownikiem gen. Franco oraz zagorzałym falangistą. 27 czerwca 1941 roku rozpoczęto natychmiastową rekrutację, otworzono punkty werbunkowe w koszarach wojskowych oraz wszystkich lokalach Falangi. 28 czerwca 1941 roku rząd Franco wezwał Hiszpanów do wstępowania w szeregi ochotniczej formacji. Kolportowano ulotki z odezwą mobilizacyjną, której fragment przedstawiał się mniej więcej tak:

„Hiszpanie!

Wojna hiszpańska, w której barbarzyńca komunistyczny wbił swoje szpony w nasze terytorium kładąc kres życiu najlepszych spośród nas, ma dziś swoją kontynuację na stepach rosyjskich, gdzie Błękitna Dywizja Hiszpańskich Ochotników mężnie udowadnia wartość naszego narodu przez swój udział w zniszczeniu bolszewizmu. Ale ten zaszczyt, który na wszystkich splywa, nie może stać się przywilejem jedynie nielicznych.

Aby dzielić chwałę i poświęcenie za naszą wiarę, za honor i przyszłość ojczyzny, i aby dać zasłużony wypoczynek naszym bojownikom w Rosji, dziś na nowo otwiera się punkty werbunkowe we wszystkich lokalach Falangi.

Wy, którzy śnicie o lepszej Hiszpanii i pragniecie służyć jej jak najlepiej – wstępujcie w szeregi Ochotniczej Dywizji Hiszpańskiej!”

Mobilizacja przeszła najśmielsze oczekiwania, ponieważ na podstawie podpisanego przez Caudillo zarządzenia dywizja hiszpańska miała liczyć 18 tysięcy żołnierzy, natomiast – jak się później okazało – ochotników było zdecydowanie więcej. Pierwszego tygodnia rekrutacji do nowej jednostki zgłosiło się 40 tysięcy chętnych na front. Zgłaszał się cały przekrój narodu hiszpańskiego – weterani wojny domowej, członkowie Falangi, karliści, oficerowie armii, żołnierze, studenci, intelektualiści, robotnicy i chłopci, ale prócz nich także kilku gubernatorów, księża oraz zwykli awanturnicy. Przykładowo, kadeci Akademii Wojskowej w Saragossie na pytanie, czy ktoś chce zgłosić się jako ochotnik do dywizji, zgłosili się całym batalionem, od żołnierzy po oficerów, przy czym warto zaznaczyć, iż oprócz zawodowych oficerów otrzymujących przydziały do kadr dowódczych tworzonej dywizji chcieli służyć nawet oficerowie, którzy nie zostali przydzieleni do kadr, zatem pełnili służbę jako szeregowcy. Wśród oficerów znalazło się 24 księża, którzy zostali kapelanami, oraz 38 falangistek chętnych do pełnienia służby w oddziałach pomocniczych. Wśród ochotników oprócz Hiszpanów byli również biali Rosjanie, Portugalczycy oraz jeden Wenezuelczyk.

Oprócz motywów czysto ideowych trzeba wziąć pod uwagę to, że rząd gen. Franco celem pozyskiwania ochotników zamieszczał na ulotkach informacje o korzyściach, jakie mogli odnieść ochotnicy z racji wstąpienia do dywizji. Ochotnicy mieli pobierać standardowy żołd żołnierza niemieckiego, a ich rodziny miały otrzymywać specjalną pensję, jaką pobierał rekrut przed wyruszeniem na front. Ochotnikom gwarantowano dotychczasowe miejsca pracy, a ich rodzinom – pierwszeństwo w obejmowaniu stanowisk oraz przywilej bezpłatnej nauki w szkołach średnich i wyższych dla dzieci żołnierzy.

Rekrutacja musiała zostać zakończona 2 lipca 1941 roku, ponieważ liczba ochotników przekroczyła 70 tysięcy. W samym Madrycie o 4 tysiące etatów wojskowych ubiegało się 40 tysięcy ochotników, zaś niemiecki poseł w hiszpańskiej stolicy doniósł, że w razie dalszego trwania zapisów Hiszpanie mogliby na front wschodni wystawić 10 dywizji. Wpływy w dywizji chciała uzyskać Falanga Hiszpańska, jednak gen. Franco nie mógł na to pozwolić, stawiając nie tyle na idealizm, lecz na profesjonalizm i wysoką wartość bojową dywizji. Stąd, zgodnie z rozkazem Naczelnego Dowództwa, 50% kadry oficerskiej i podoficerskiej mieli stanowić zawodowi żołnierze, jednak w praktyce procent ten był znacznie wyższy (70% ochotników pochodziło z regularnej armii hiszpańskiej, wielu z nich było weteranami wojny lat 1936 – 1939). Stopnie oficerskie od porucznika wzwyż miały być przeznaczone dla wykształconych wojskowych, niższe od porucznika mieli obsadzać członkowie Falangi. Analogiczne były starania o stanowisko dowódcy przyszłej Division Azul. Falanga forsowała ministra pracy i bohatera wojny domowej, José Antonio Givona de Vasco, jednak Franco w obawie przed falangizacją dywizji wybrał neutralnego kandydata. Był

nim weteran walk w Maroku, dowódca Hiszpańskiej Armii Afrykańskiej z okresu wojny domowej oraz sekretarz generalny Falangi, 45-letni gen. Augustin Muñoz Grandes. Jego kandydatura została zaakceptowana przez armię i falangistów.

Wchodzące w skład pułków bataliony formowano w Madrycie, Saragossie, Sewilli, Ceucie (położonej w hiszpańskim Maroku), Valladolid, La Coruna, Burgos, Walencji i Barcelonie. Początkowo dywizja miała składać się z 5 pułków: „Rodrigo”, „Vierna”, „Esparza”, „Pimentel” i „Perez”, nazwanych zgodnie z hiszpańską tradycją od nazwisk ich dowódców. Równolegle formowano pułk artylerii, zaplecze oraz jednostki pomocnicze. Poważnym problemem stała się kwestia dotycząca umundurowania żołnierzy. Hiszpania nie była formalnie w stanie wojny z ZSRS, więc żołnierze nie mogli walczyć na froncie wschodnim w mundurach armii hiszpańskiej. Wobec tego skompletowano kombinowany mundur, na który składały się błękitna bluza mundurowa Falangi, czerwony beret karlistów i bryczesy używane w hiszpańskiej „Legión Extranjera Española” (czyli Hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej). To właśnie od błękitnego koloru mundurów przyjęło się określać jednostkę mianem Division Azul, czyli Błękitnej Dywizji. Wyżej przytoczone umundurowanie Hiszpanie nosili jedynie do czasu wyjazdu z Hiszpanii, ponieważ przed wyruszeniem na front zostali wyposażeni w niemieckie umundurowanie.

Struktura i organizacja

Pierwsi ochotnicy wyjechali 13 lipca 1941 roku do Niemiec, żegnani przez tysiące Hiszpanów rzymskim pozdrowieniem. Minister Sùñer zaś pożegnał ochotników słowami: *„Będziecie walczyć w obronie przyszłości cywilizacji, aby zniszczyć nieludzki, barbarzyński i przestępczy system rosyjskiego komunizmu. Będziecie brać udział w tworzeniu zjednoczonej Europy i zapłacie za to swoją krew.”* Na poligonie w Grafenwöhr, w Bawarii, dywizja przeszła szkolenie i reorganizację – zredukowano cztery pułki do trzech, po 3 bataliony w każdym pułku (zgodnie z etatami niemieckiej dywizji piechoty) oraz została podporządkowana dowództwu Wehrmachtu. 25 lipca 1941 roku otrzymała oficjalną nazwę 250. Infanterie Division (spanische), czyli 250. Dywizja Piechoty (hiszpańska). Żołnierzy Błękitnej Dywizji wyposażono w niemieckie mundury i otrzymali numer dywizji – 250. O odrębności narodowościowej dywizji miały świadczyć naszywka w kolorze czerwono – żółto – czerwonym z napisem „Espana”, noszona na prawym rękawie munduru, oraz kalkomania w barwach narodowych umieszczana na hełmie M42. Zwyczajem żołnierzy stało się zakładanie na niemieckie mundury granatowych koszul Falangi, oraz nieregularne noszenie odznak i symboli religijnych, co powodowało konflikty z niemiecką żandarmerią.

Dywizja składała się z trzech pułków piechoty – 262., 263. i 269. Kolejno te pułki tworzyli ochotnicy z Barcelony, Walencji i Sewilli. Pułk „Rodrigo” rozwiązano, a jego żołnierzy przeniesiono do innych pułków. Oprócz nich na skład dywizji składały się również 250. pułk

artylerii, 250. pułk przeciwpancerny, 250. batalion rozpoznawczy, 250. batalion saperów oraz 250. batalion zapasowy. Jakie było zaś wyposażenie i struktura wewnętrzna oddziałów? Każdy z pułków liczył etatowo 3012 żołnierzy uzbrojonych w standardową broń palną, batalion przeciwpancerny miał do dyspozycji 36 armat kalibru 37 milimetrów, takie same wyposażenie miały kompanie ppanc. w pułkach piechoty. Transport batalionu ppanc. oparty był na francuskich samochodach, natomiast główną siłę pociągową stanowiły konie. Batalion rozpoznawczy był podzielony na dwie kompanie rowerowe, zwane szwadronami z racji, iż ich żołnierze to dawni kawalerzyści. Pułk artylerii zaś etatowo liczył 2793 żołnierzy, podzielonych na trzy dywizjony haubic 105 milimetrów (po 3 baterie) oraz dywizjon ciężkich haubic 150 milimetrów (3 baterie). Batalion zapasowy zaś liczył 601 żołnierzy. Stan ówczesny dywizji przedstawiał się więc następująco: 641 oficerów, 2272 podoficerów i 15780 żołnierzy.

Niemieccy instruktorzy szkolący Division Azul bezskutecznie próbowali wpoić Hiszpanom żelazną dyscyplinę, opartą na drylu sięgającym czasów armii pruskiej. Paradoksalnie, to doprowadziło do sytuacji, w której jedynym „osiągnięciem” feldfebli było pogłębienie pogardy Hiszpanów do niemieckich regulaminów wojskowych i manifestacyjne okazywanie tego na każdym kroku, co widać było szczególnie w zakresie braku dyscypliny dot. jednolitego umundurowania. Do Oberkommando der Wehrmacht (OKW) z czasem zaczęły napływać skargi na niekarność i niezdyscyplinowanie hiszpańskich żołnierzy. Zgorszenie wśród niemieckiej generalicji wzbudzały: demonstracyjne lekceważenie niemieckich regulaminów wojskowych, indywidualne podejście do kwestii umundurowania, niekarność względem niemieckich zwierzchników oraz dobre kontakty z ludnością okupowanych krajów, dalekie od ideologii nazistowskiej. Po tych powtarzających się faktach Division Azul zyskała miano jednej z najbardziej niezdyscyplinowanych jednostek armii niemieckiej. Przykładowo feldmarszałek Günther von Kluge, dowódca 4. Armii, miał w trakcie obserwacji przemarszu dywizji na front zapytać: „*To są żołnierze czy Cyganie?*” Podobną opinię na temat tego problemu później zawrze wódz III Rzeszy, Adolf Hitler, jednocześnie uznając waleczność Hiszpanów w pierwszych walkach nad rzeką Wołchow z 15-18 października 1941 roku: „*Jako wojsko Hiszpanie wyglądają jak banda włóczęgów. Nie można spowodować, aby czyścili swoje karabiny. Nadchodzą Rosjanie, a miejscowi muszą ich budzić; ale nigdy nie oddali piędzi ziemi... Szydzą ze śmierci... Są ciągle w najwyższym stopniu waleczni i wytrzymali, ale bardzo niezdyscyplinowani.*”

Powodem do wściekłości dowództwa był neutralny, a nawet przyjazny stosunek żołnierzy Błękitnej Dywizji do ludności okupowanej. Wiązało to się z faktem, iż antykomunizm ochotników z Hiszpanii nie wiązał się w żaden sposób z ideologią nazistowską, wobec czego oburzenie wśród ochotników budziło traktowanie Polaków, Żydów i Rosjan na froncie wschodnim przez esesmanów. Podkreślali przede wszystkim, że walczą z bezbożnym komunizmem, nie narodem rosyjskim, który

poniósł jedną z największych ofiar w okresie panowania komunizmu, stąd nawet Rosjanie zachowali o nich ciepłe wspomnienia. To oczywiście odbijało się na zawieraniu o hiszpańskich żołnierzach opinii w OKW, które uznało Division Azul za formację niepełnowartościową. Hiszpanie szczególnie życzliwi byli względem Polaków, do czego zbliżały ich religia katolicka i antykomunizm. Stąd żołnierze dywizji nie splamili się żadnymi zbrodniami wojennymi ani udziałem w antypartyzanckich operacjach, a nawet były przypadki, że urlopowani żołnierze dostarczali broń Armii Krajowej. Warto tu przytoczyć dwa świadectwa świadczące o tym. Pierwsze pochodzi od Polaka z Prus Wschodnich, Wacława Pardo, który tak wspominał spotkanie z Hiszpanami w 1941 roku:

„Jechałem właśnie rowerem na pastwisko, kiedy zwrotniczy zamknął tor kolejowy. Nadchodzi pociąg wojskowy i, o dziwo! Jadą hiszpańscy żołnierze. Ciepło. Zakasane rękawy, czarne zarosty, opalone twarze. Na piersiach zwisają łańcuszki i krzyżyki. Stojącego przy szlabanie robotnika Polaka witają okrzykiem ‘Polaco’ (miałem z lewej strony literę ‘P’) i ‘Viva Polonia’. Jeden z żołnierzy krzyczy ‘Polska!’, a w uniesionych rękach trzyma zwisający różaniec...”

Innym świadectwem jest zaś relacja podziemnego dwutygodnika „Szaniec” z 15 października 1941 roku, na jego łamach opisano bójkę hiszpańskich ochotników z Niemcami w obronie sowieckich jeńców, jaka miała miejsce w Grodnie:

„Do Grodna przybyła hiszpańska brygada ochotnicza (...). Przybyło ich 6 batalionów. Stosunek ich do Polaków był zupełnie przyjazny, dużą sympatię okazywali również Żydom, co już świadczyło o niezupełnym przyswojeniu sobie kardynalnych zasad polityki hitlerowskiej. Jaskrawym przykładem niezgodnienia światopoglądów było starcie w Grodnie. Oddział hiszpański, maszerując ulicą, napotkał oddział pędzonych przez Niemców jeńców sowieckich, którzy błagali o żywność. Jakaś kobieta rzuciła im spod parkanu kilka paczek. Gdy w odpowiedzi na to jeden z konwojentów Niemców strzelił do kobiety, a inny rzucił się z kolbą na podnoszących paczki jeńców, bijąc ich z całej siły, Hiszpanie złamali szeregi i wyciągnąwszy sztylety (nie noszą broni palnej), pośpieszyli bolszewikom na pomoc. Wywiązała się formalna bitwa niemiecko – hiszpańska, z czego korzystając bolszewicy w liczbie około 200, rozbiegli się. W rezultacie jeden Niemiec został zasztyletowany, 6 rannych, a Hiszpanie również ponieśli ofiary. Mniej drastyczny wypadek tego rodzaju miał miejsce w tym samym Grodnie na ulicy Kolejowej. Hiszpanie zobaczyli Niemców bijących bolszewika, który podniósł rzuconą mu paczkę papierosów. Tym razem ograniczyli się jednak do groźby sztyletami i do solidnego zwymyślenia Niemców po hiszpańsku, po czym obdarzyli bolszewików swymi papierosami. Ten brak elementarnych znajomości metod budowania nowego porządku europejskiego zmusił Niemców do zaproponowania tym panom, aby nie opuszczali na razie koszar.”

Szlak bojowy

Dywizja była gotowa do użycia na froncie, opierała się natomiast na transporcie konnym. 21 sierpnia 1941 roku Hiszpanie wyruszyli pociągiem do okolic Augustowa, skąd następnie odbyli bardzo długi (prawie 900-kilometrowy) marsz przez Grodno, Wilno i Mińsk w kierunku Witebska. Tak daleki marsz był bardzo trudnym przedsięwzięciem, biorąc pod uwagę to, iż transport kolejowy do miejsca rozpoczęcia przemarszu obejmował oprócz żołnierzy również 5160 koni i tylko 765 pojazdów kołowych. We wrześniu 1941 roku Division Azul została podporządkowana 9. Armii z Grupy Armii „Środek”, by później przejść pod dowództwo Grupy Armii „Północ” (w jej składzie pozostała do października 1943 roku) i brać udział w kampanii na północnym odcinku frontu wschodniego. Przeniesienie nastąpiło w wyniku kryzysu, jaki miał miejsce 24 września 1941 roku na froncie 16. Armii, w okolicy jeziora Ładoga. Hitler wydał osobisty rozkaz przerzucenia jednej z dywizji pociągami na północ. Jak zanotował w swoim dzienniku szef sztabu wojsk lądowych, Franz Halder: *„Wyznaczona zostaje [250] dywizja hiszpańska, która ma być przewieziona z Witebska w tempie 6. Przybycie do m. Dno w dniach 2.10-10.10.”* Tak Hiszpanie znaleźli się pod Leningradem. Chrzest bojowy Division Azul nastąpił 12/13 października 1941 roku, kiedy kilkudziesięciu żołnierzy z 2. batalionu 269. pułku piechoty przeprawiło się przez rzekę Wołchow i zaskoczyło przygotowujący się do przeprawy batalion Armii Czerwonej. Po godzinnej potyczce Sowieci wycofali się z przeprawy tracąc 50 zabitych i 80 rannych. Wraz z początkiem listopada rozpoczęto przerzut ciężkiego sprzętu i gen. Grandes otrzymał rozkaz obrony zajętych pozycji w rejonie miejscowości Otenskij, Possad i Posełok. 16 października Hiszpanie z 2. batalionu przeprawili się przez rzekę i zbudowali most pontonowy. 18 października roku pułk 269. przekroczył Wołchow i zajął miejscowość Smeiko. W listopadzie 1941 roku, w toku krwawych walk, Hiszpanie ponieśli spore straty (do końca listopada zginęło 423 żołnierzy, a 1107 zostało rannych), jednak odznaczyli się wysokim morale i wartością bojową, o czym może zaświadczyć udana szarża trzech hiszpańskich żołnierzy na sowieckie okopy z bagnietami na karabinach. Hiszpanie z okrzykiem *„Arriba Espana!”* (*„Naprzód, Hiszpanio!”*) zaskoczyli 20 sowieckich żołnierzy, którzy poddali się i poszli do niewoli sądząc, iż mają do czynienia z awangardą oddziału wroga. Wraz z początkiem grudnia 1941 roku zaatakowała rosyjska zima, temperatury spadały poniżej -40°C. Szczególnie krwawe walki toczyły się o Possad. W dzienniku bojowym Dywizji pod datą 7 grudnia 1941 roku zapisano: *„Panuje przekonanie, że Hiszpanie dłużej nie zdołają się utrzymać. Ludzie odnoszą wrażenie, że na ich stanowiska została rzucona cała Armia Czerwona.”* Tego dnia odnotowano temperaturę -40°C.

8 grudnia Hiszpanie otrzymali rozkaz wycofania się na zachodni brzeg rzeki Wołchow, który podjęła 10 grudnia. 8 grudnia również w madryckim Teatrze Calderon została po raz pierwszy wykonana pieśń, która była hymnem Błękitnej Dywizji. Autorami tekstu i kompozycji byli Jose Maria Alfaro i Augustin Foxa. Oprócz niej Hiszpanie na froncie śpiewali inne pieśni, m.in. słynny

hymn Falangi, „*Cara al Sol*” („*Twarzą ku Słońcu*”) czy „*Primavera*” („*Wiosna*”). 22 grudnia zakończono operację przemieszczenia Błękitnej Dywizji. Odpoczynek nie trwał długo, ponieważ dwa dni później, w Wigilię 1941 roku resztki 269. pułku podjęły udany kontratak na atakujących żołnierzy Armii Czerwonej w okolicach miejscowości Udarnik i Gorka. Division Azul mimo przewagi liczebnej Sowietów, wsparcia ich ataków artylerią i czołgami, mrozów spadających poniżej – 40°C i śnieżycy walczyła z determinacją. W styczniu 1942 roku straty wynosiły już 731 zabitych, 1467 rannych, 195 odmrożonych i 445 chorych. Jedną z najbardziej brawurowych akcji miała miejsce właśnie w styczniu 1942 roku, w trakcie kontrofensywy sowieckiej z zimy 1941/1942 roku. Wówczas przez zamrożone jezioro Ilmen kompania narciarska pod dowództwem kapitana Jose Manuela Rodrigues Ordas, licząca 214 ludzi i 70 san, wyruszyła w kierunku miejscowości Wzward na pomoc odciętemu pododdziałowi 290. dywizji piechoty i ostatecznie dotarła do miejscowości Usład. Marsz obliczany na 30 kilometrów wyniósł dwa razy większą odległość, odbywał się po kolana bądź nawet pas w śniegu i przy piekielnym mrozie sięgającym -55°C. Po dotarciu do Usład Hiszpanie wsparli Niemców w walce z Armią Czerwoną. 25 stycznia 1942 roku kpt. Ordas zameldował, że do dyspozycji ma jedynie 12 żołnierzy. Niemcy docenili wysiłek Division Azul, odznaczając 32 z nich Krzyżami Żelaznymi.

Błękitna Dywizja od stycznia do marca 1942 roku brała udział w walkach nad Wołchowem, gdy Sowieci przełamali linię frontu pod Nowogrodem, jej zadaniem było podjęcie kontrataku i zamknięcie utworzonego przez sowieckie oddziały kotła. Dywizja hiszpańska, wspólnie z jednostkami niemieckimi, brała udział w tych działaniach, zakończyły się one zamknięciem i zacieśnieniem „kotła wołchowskiego”. Apogeum tych walk nastąpiło w czerwcu 1942 roku, gdy Hiszpanie wzięli udział w ofensywie mającej ostatecznie zniszczyć otoczone w kotle jednostki Armii Czerwonej. Pod koniec marca 1942 roku straty Hiszpanów, wynikłe m.in. z udziału w tych walkach, były bardzo poważne – 1019 zabitych, 2396 rannych i 1240 odmrożonych. Mimo strat sięgających 33% stanu osobowego Dywizja utrzymała swoją wartość bojową. 26 sierpnia 1942 roku Błękitna Dywizja została wycofana z frontu, gdzie przebywała do 10 września, gdy została skierowana do walk w rejonie Krasnego Boru, kilkanaście kilometrów od Leningradu.

13 grudnia 1942 roku zakończył służbę dowódcą gen. Grandes, który został osobiście przez Hitlera odznaczony Krzyżem Rycerskim Żelaznego Krzyża oraz Liśćmi Dębu do Krzyża Żelaznego. W połowie grudnia 1942 roku dowództwo Dywizji objął gen. Emilio Esteban Infantes, weteran wojny w Hiszpanii (m.in. dowódca 5. Dywizji Nawaryjskiej) który od sierpnia 1942 roku przebywał na froncie rosyjskim i zdołał zaznajomić się z formacją oraz specyfiką frontu wschodniego. Na nowym odcinku działań Sowieci przełamali oblężenie Leningradu, wobec tego 16 grudnia 1941 roku gen. von Lindeman wydał rozkaz zamknięcia powstałej wyrwy żołnierzom Division Azul. Do tej akcji został oddelegowany drugi batalion 269. pułku. Po przybyciu na miejsce

Hiszpanie zastali poważnie osłabiony pułk niemiecki, a bliżej nieznanemu pułkownikowi wskazał strefę, z której spodziewano się ataku wrogich wojsk. Walka z góry skazana była na porażkę, dlatego większość żołnierzy postanowiła się wycofać. Na placu boju pozostała jedynie 7. kompania dowodzona przez kapitana Massipa, który zginął nie opuszczając swojego stanowiska za co został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Laurowym świętego Ferdynanda. Po serii bitew z batalionu liczącego pierwotnie 835 ludzi 30 stycznia 1943 roku do dywizji powróciło jedynie 27.

W lutym 1943 roku w rejonie Krasnego Boru doszło do najbardziej zaciętych walk z udziałem Hiszpanów. Pozycje, które zajmowała dywizja, obejmowały od zachodu Aleksandrowkę, a od wschodu Krasny Bór. Odcinek miał długość 18 kilometrów, co wymuszało ustawienie obrony linearnej, bez większych odwodów. W pierwszej linii rozmieszczone zostały wszystkie trzy pułki: po lewej 263., w centrum 269. i 262. po prawej. 10 lutego 1943 roku, Rosjanie ruszyli do ataku 10 lutego o 6.30, po dwugodzinnym (lub nawet trzygodzinnym) przygotowaniu artyleryjskim wykonanym przez setki dział. Porównując siły obu stron można stwierdzić, iż przewaga rosyjska w piechocie wynosiła 10:1, w artylerii 4:1. W czołgach porównanie nie było możliwe, gdyż Hiszpanie ich po prostu nie mieli. Według źródeł radzieckich do połowy dnia opanowano połowę miejscowości Krasny Bor, a pod koniec dnia całą miejscowość, co nie do końca było zgodne z prawdą. Do niewoli radzieckiej dostało się tego dnia 300 Hiszpanów i wielu Niemców. Na wschodni sektor obrony uderzyła sowiecka dywizja gwardii wsparta czołgami. Hiszpanie bronili się bohatersko mimo znacznej przewagi przeciwnika. Przykładowo, 3. kompania 1. batalionu 262. pułku broniąca się na stacji kolejowej została całkowicie zniszczona przez czołgi T-34 i piechotę, ale broniła się do ostatniego żołnierza, tracąc wcześniej wszystkich oficerów. Jej dowódca, kapitan Ruiz de Huidrobo, wzywając do końca swoich żołnierzy do stawiania oporu, zginął w walce i został pośmiertnie odznaczony krzyżem św. Ferdynanda.

Podobnie było na pozycjach innych pododdziałów. Odcięte punkty oporu broniły się jeszcze do nadejścia pomocy ze strony jednostek niemieckich, ale napór Rosjan utrzymał się także w kolejnych dniach. Z końcem walki straty zaangażowanych w walki Hiszpanów sięgały 75% – 3645 zabitych i rannych oraz 300 wziętych do niewoli. Armia Czerwona zaś straciła ponad 10 tysięcy zabitych, rannych i zaginionych żołnierzy. Jeszcze w marcu 1943 roku Hiszpanie odpierali sowieckie ataki, zanim kilka tygodni później nie zostali zastąpieni na linii frontu przez niemiecką 254. dywizję piechoty. Obrona Krasnego Boru była najcięższą próbą dla dywizji, z której wyszła ona zwycięsko. Wprawdzie Rosjanie przełamali pierwszą linię obrony, ale druga i trzecia wytrzymały rosyjski impet. Wobec zaciętej obrony Hiszpanów sowiecki atak utknął na wielu odosobnionych punktach oporu walczących do ostatniego żołnierza.

Wycofanie z frontu

W tym samym czasie, gdy w latach 1942 – 1943 zbliżało się rozstrzygnięcie walk na froncie wschodnim, miała miejsce kampania afrykańska, zakończona kapitulacją sił niemieckich i włoskich. To spowodowało zmianę sytuacji politycznej, bowiem pałeczkę zaczęli przejmować alianci zachodni oraz Związek Sowiecki. W takich warunkach dalsze istnienie i walka Błękitnej Dywizji na froncie sowieckim mogły przynieść zaostrenie relacji między rządem Francisco Franco, który nie angażował się po żadnej ze stron w II wojnie światowej, a aliantami. Wiosną 1943 roku hiszpański rząd rozpoczął rozmowy z dowództwem niemieckich sił zbrojnych w sprawie wycofania Division Azul z frontu wschodniego. Pod naciskiem aliantów Franco ostatecznie zdecydował się na odwołanie ochotników, w październiku 1943 roku rozpoczęto ewakuację żołnierzy Błękitnej Dywizji do Hiszpanii. 29 października 1943 roku, po wymianie mundurów w miejscowości Hof (w Bawarii), granicę hiszpańską przekroczyło pierwszych 800 żołnierzy. 23 grudnia 1943 roku zaś do Madrytu przybył dowódca, gen. Infantes.

9 listopada 1943 roku zostało ustanowiony Medal za Kampanię w Rosji (z hiszp. „*Medalla de la Campaña de Rusia*”), potocznie zwany Orłem Świętego Andrzeja. Był on pamiątkowym odznaczeniem, przyznawanym hiszpańskim ochotnikom walczącym na froncie wschodnim II wojny światowej. Stanowił je srebrny orzeł z Krzyżem Żelaznym pośrodku, otoczony w tle wieńcem laurowym i zwieńczony koroną. Na rewersie odznaczenia widniały wieże soboru nowogrodzkiego otoczone łańcuchem, pod nim znajdował się napis „Rusia 1941”. Oznaka była zawieszona na białej wstążce z dwoma paskami po bokach: po lewej stronie był pasek czerwono – żółto – czerwony (barwy narodowe Hiszpanii), zaś po prawej – czarno – biało – czerwono – biało – czarny (barwy wstążki Krzyża Żelaznego). 3 stycznia 1944 roku zaś niemieckie dowództwo ustanowiło Medal Błękitnej Dywizji (z niem. „*Blauen Division Medaille*”). Na jego awersie widniał stalowy hełm niemiecki, pod nim dwie tarcze ułożone na umieszczonym poziomo mieczu. Na lewej tarczy był orzeł Wehrmachtu, a na prawej odznaka Falangi. Na rewersie widniała inskrypcja: DIVISION ESPANOLA DE VOLUNTARIOS EN RUSIA. Pod nią znajdowały się dwie gałązki: laurowa i dębowa, związane wstążką z zawieszonym na niej Krzyżem Żelaznym. Oznaka była zawieszona na czarno – biało – czerwono – biało – czarnej wstążce z żółtym paskiem pośrodku.

Łączne straty Błękitnej Dywizji na froncie wschodnim przedstawiają się następująco: ok. 3,6 – 4,5 tysiąca zabitych, 8466 rannych, 326 zaginionych oraz 321 wziętych do niewoli. Przez jej szeregi przewinęło się od 45 do 50 tysięcy żołnierzy. Mimo tych strat Hiszpanie wywiązali się ze swojego obowiązku. Pomścili ofiary wojny w Hiszpanii oraz pokazali swoją bitność i waleczność na froncie wschodnim. Po rozwiązaniu Division Azul wielu spośród tych Hiszpanów, którzy chcieli dalej walczyć z bolszewikami, zasilili szeregi Błękitnego Legionu oraz 28. Dywizji Grenadierów SS „*Wallonien*”, której dowódcą był od 1941 roku słynny przywódca belgijskiego ruchu Christus Rex,

Leon Degrelle. Prócz tych jednostek Hiszpanie walczyli również w jednostkach Wehrmachtu i Waffen SS. To jednak jest temat na oddzielny tekst.

W tym roku minie 74. rocznica bitwy pod Krasnym Borem, tego dnia warto pamiętać o bohaterach z Błękitnej Dywizji, którzy walczyli przeciw bolszewikom i stanowili generację mścicieli ofiar wojny domowej w Hiszpanii. Dzisiaj są upamiętniani przez hiszpańskich nacjonalistów, a w europejskiej i polskiej historiografii wychodzą publikacje poświęcone ich historii.

Ktoś spyta, dlaczego oni walczyli na froncie wschodnim? Odpowiedzią niech pozostaną słowa ambasadora USA w Hiszpanii, Carltona Hayesa:

„Nie przybyli oni tam, aby pomagać Niemcom w walce z nami, lecz aby zademonstrować wrogość Hiszpanii wobec komunizmu.”

Wybrane źródła:

S. Bianchi, Commemorative Medal for Spanish Volunteers, „Foreign Legions Index”, 29 stycznia 2012 [dostęp: 9 grudnia 2016], <http://www.wehrmacht-awards.com/related/axis_allies/foreign_legions.htm>.

M. Gawęda, Błękitna Dywizja na froncie wschodnim, „Inne Oblicza Historii. Portal miłośników historii”, dostęp: 9 grudnia 2016, <<https://ioh.pl/artykuly/pokaz/bkitna-dywizja-na-froncie-wschodnim,1048/>>.

G. Kleinfeld, Hitler's Spanish Legion. The Blue Division in Russia, Illinois 1979.

X. Moreno Juliá, Błękitna Dywizja. Krew Hiszpanów przelana w Rosji 1941 – 1945, tł. M. Malinowski, Żelów 2009.

W. Muszyński, Błękitna Dywizja. Ochotnicy hiszpańscy na froncie wschodnim 1941 - 1945, Warszawa 2002.

W. Muszyński, Hiszpanie pod Leningradem, „Uważam Rze Historia” 2012, nr 8.

D. Tasior, Błękitna Dywizja na Suwalszczyźnie, „Ojczyzna – Suwalszczyzna”, 21 lipca 2014 [dostęp: 9 grudnia 2016], <<http://ojczyzna-suwalszczyzna.pl/?p=136>>.

T. Zubiński, Błękitna Dywizja. Hiszpańscy sojusznicy Hitlera, Poznań 2016.

Witold Dobrowolski – „Hiszpania w ogniu”

W 1936 roku Polak, prawicowiec i katolik wybrał się do ogarniętej krwawą wojną Hiszpanii. Nazywał się Jerzy Przywieczerski i pozostawił po sobie z tej podróży szczegółowy reportaż, wydany w tym samym roku pod tytułem „Hiszpania w ogniu”. Konflikt ten trwał cztery lata i pochłonął setki tysięcy ludzkich istnień a obecnie uznawany jest za preludium do największej i najbardziej krwawej wojny znanej w historii. Jednocześnie wojna domowa w Hiszpanii była pierwszym tak wyrazistym konfliktem ideologicznym w 20 wieku, pomiędzy ideologiami, które powstały w 19 wieku a ich największy rozwój datuje się od początku 20 wieku. Zależnie od poglądów politycznych, bądź światopoglądu religijnego bardzo łatwo można było, nawet z ówczesnej perspektywy, otwarcie poprzeć jedną z walczących stron. Toteż Autor reportażu opisuje wrażenia, podróżując do Hiszpanii przez Czechy, Austrię, Niemcy i Francję, gdzie niemal każdy rozmówca z góry ma wyrobione zdanie na temat tego konfliktu, przy okazji opisując podejście rządów tych państw do wojny i walczących stron.

W końcu docierając po pewnych komplikacjach do Hiszpanii szybko trafia na front, gdzie wojska narodowe Franco toczą zażarty bój z broniącymi się w ostatniej reducie baskijskiej w mieście Eibar wojskami strony rządowej (Front Ludowy). Heroiczna obrona rządowych robi wrażenie nie tylko na nim, ale także na towarzyszącemu mu oficerze falangiście, który stwierdził: „Tak, czerwoni biją się po bohatersku, przecież oni też są Hiszpanami!”. Jeszcze przed wyruszeniem w strefę bezpośredniej walki Przywieczerski bierze udział w mszy polowej dla falangistów z poważnie przetrzebionego już oddziału. Z pułku falangistów walczącego pod Irunem, który liczył pierwotnie 850 ludzi, pozostało zaledwie 150 żywych. Msza jest niesamowitym i podniosłym przeżyciem, a muzykę organów zastępował huk artylerii i strzałów. Następnie Przywieczerski towarzyszy szturmującym miasto Karlistom, wśród których występowała ogromna śmiertelność wynikająca z noszenia widocznych czerwonych beretów, które łatwo pozwalały rządowym wykrywać rządowym cele do ostrzału. W swoim reportażu zwraca uwagę, iż czerwone milicje i baskijscy niepodległościowcy walczą tak zaciekle, bowiem nie czeka ich niewola, a jedynie śmierć. Podczas tej wojny obie strony rzadko kiedy biorą jeńców.

Jako wierzący katolik Przywieczerski nie jest obojętny wobec terroru rządowego, który dotyka duchownych, oraz zwykłych, prostych wierzących. W jego zapiskach można znaleźć wiele relacji od uchodźców, którzy doświadczyli prześladowań za wiarę na własnej skórze. Jego opisy zbezczeszczonej kościołów, ołtarzy, stref Sacrum dla wierzących sprawiają, że na myśl od razu przychodzi podobny obraz znany ze zdjęć i nagrań z syryjskiej wojny domowej. Całość przypomina

także sowiecką propagandę antyreligijną, którą rząd hiszpański najwidoczniej musiał się inspirować. Wystarczy wymienić słowa Bucharina na drugim kongresie bezbożników: „religię należy zwalczać bagnietami”, oraz numer „Bezbożnika” z 2 listopada 1930 roku: „podpalimy wszystkie kościoły świata i zrównamy z ziemią”. Na swojej drodze Autor spotyka wielu duchownych, którzy popierali trwającą narodową rewolucję, wierząc w triumf Boga nad Szatanem. Jednocześnie jako dziennikarz Przywieczerski pozostaje rzetelny w swoim zawodzie i nie pomija faktu, iż wojna nie jest konfliktem dobra ze złem. Rozmawiając z baskijskimi nacjonalistami walczącymi po stronie rządowej przeciwko Franco zauważa, że pozostają oni katolikami, a i również baskijskie duchowieństwo wspiera po cichu rządową stronę. Wynika to z ich walki o niepodległość i obawę przed niszczeniem ich tożsamości przez zwolenników monarchii i Franco. W rozmowach prowadzonych przez Przywieczerskiego przyznają się do głębokiej niechęci do anarchosyndykalistów, którzy mieli na sumieniu wiele zbrodni popełnianych okrutnie na cywilach i przeciwnikach politycznych. Podobne opinie można w reportażu zauważyć w rozmowach z wieloma przedstawicielami obu stron konfliktu. Dotyczy to Karlistów, falangistów, duchowieństwa katolickiego jawnie wspierającego Franco, a z drugiej strony barykady Basków czy Katalończyków (wśród tych ostatnich anarchosyndykalizm był najpopularniejszy). Można w tym miejscu jednak przypomnieć, że był to rok 1936, zbrodnie stalinowców (komunistów wchodzących w skład Frontu Ludowego i akceptujących moskiewskie zwierzchnictwo) miały w późniejszym okresie konfliktu zakryć zapomnieniem zbrodnie tych pierwszych. Z tego względu we współczesnej propagandzie anarchistów całą odpowiedzialność za zbrodnie stara się przerzucać na republikanów współpracujących z ZSRR, przeciw którym nawet anarchiści w pewnym momencie podnieśli broń. Na polskim dziennikarzu ogromne wrażenie robi niemal średniowieczny fanatyzm krucjaty walczących narodowych rewolucjonistów, aż przywołuje on, opisując panującego wśród karlistów ducha świętej wojny, słowa św. Teresy: „Chciałabym walczyć i polec w obronie wiary”. Zauważa również, że pośród falangistów podejście do katolicyzmu nie jest tak silne, co ma mieć związek z wpływem hitlerowskim na europejskie faszyzmy. Nie jest to jedyna różnica, którą między monarchistami a nacjonalistami dostrzega Autor reportażu. Przypadkowo rozpoczyna on podczas podróży autobusem rozmowę z młodą Hiszpanką, która okazuje się być działaczką Falangi. „My, nowoczesne kobiety hiszpańskie chcemy prawdziwego postępu i racjonalnego równouprawnienia, dlatego więc nie popieramy konserwatywnych kierunków, a idziemy za hasłami społecznego postępu. Walka o równouprawnienie jest, być może, powodem, że wiele z nas zabłąkawszy się, znalazła się po stronie obozu czerwonego. Mam wrażenie, że pan na pewno się z tym zgodzi, że zwycięży ta idea polityczna, którą my kobiety, będące w większości w Hiszpanii poprzemy. Ja sądzę, że przyszłość mojej ojczyzny należy do Falangi” stwierdza młoda kobieta. To otwarcie

pokazuje różnicę między postępową ideologią nacjonalistyczną, a żyjącym przeszłością konserwatyzmem karlistów.

Przywieczerski w swoim reportażu bardzo starannie opisuje poszczególne formacje walczące po stronie narodowych rewolucjonistów. Wojska regularne, Legia Cudzoziemska (złożona z Niemców, Francuzów, Rosjan a nawet Arabów), Karliści i Falangiści. Opisując je zauważa pewną istotną różnicę między nimi. „Oczy falangistów, requete i publiczności pałają zapałem i miłością idei narodowej. Ręce pozdrawiają rzymskim ukłonem ducha Hiszpanii zawartego w potężnych tonach pieśni śmierci i bohaterstwa-entuzjazm. Tylko żołnierze regularnej armii zachowywali się prawie obojętnie i podnosili z miejsc niechętnie. A więc coś nie jest w porządku, czegoś brak regularnej armii.”. Dalej Polak stwierdza: „Jeśli więc żołnierz nie posiada jak karlista, falagista, Bask, czy nawet komunista wielkiej idei, dla której walczy z całym fanatyzmem stanowi element łatwo poddający się propagandzie rozkładowej”.

Podróżował od Eibar po Samosierrę, bywał po obu stronach konfliktu, rozmawiał ze świadkami zniszczeń i potworności trapiących wówczas ten kraj, towarzyszył walczącym na linii frontu. W swoim reportażu poświęcił także część na kwestie propagandowe, opisując działalność biura prasowego strony Franco, którą otwarcie skrytykował. Ponadto poświęcił niemałą część tekstu na wyśmianie polskojęzycznej audycji prorządowego Radia Barcelona, którą prowadził Żyd, co Autor rozpoznał na podstawie akcentu, co dziś pewnie dla wielu środowisk byłoby kontrowersyjne. Podobnie kontrowersyjne dziś jawi się wielu osób stwierdzenie, że do Brygad Międzynarodowych zgłosiło się bardzo dużo polskich Żydów, którzy bardzo mocno odseparowywali się od swoich socjalistycznych towarzyszy, „czystych” Polaków. W reportażu odnaleźć można wiele „smaczków” dotyczących ówczesnego okresu. Jak się okazuje nawet wpływowy oficer Falangi nie wierzył w męczeńską śmierć José Antonio Primo de Rivera, a wierzył że ten jest więziony nadal w Madrycie. Pośród ochotników zagranicznych służących w szeregach Falangi Autor spotyka Argentyńczyków opowiadających o faszystach i walce z Żydami w Ameryce Południowej. W innym miejscu opisuje mijany obóz pracy po przekroczeniu jazdy koleją granicy czesko-niemieckiej. Przywieczerski prócz opisu własnych przeżyć, oraz relacji spotkanych ludzi, a także szerokiego tła historycznego w kontekście konfliktu, monarchii, czy walk etnicznych opisał konflikt z różnych punktów widzenia (np. walki masonerii z Jezuitami). Ponadto przedstawił on konflikt ten nie tylko jako Narodową Rewolucję, z którą przecież sympatyzuje, ale także jako wielką grę mocarstw: Wielkiej Brytanii, Francji, ZSRR, Włoch i Niemiec aktywnie wspierających strony konfliktu. Zauważa on, że w przyszłości wojna ta może eskalować do wojny światowej.

Nieznane są dalsze losy Autora reportażu po wybuchu II wojny światowej. Wiemy iż osoba o takim samym imieniu i nazwisku, również pochodząca z Warszawy, była w trakcie kampanii wrześniowej oficerem 5 Pułku Ułanów Zasławskich, za udział w której została odznaczona. Następnie w prasie konspiracyjnej działała jako dziennikarz. Jeśli człowiek ten to Autor „Hiszpanii w ogniu” to nie dane było mu przeżyć II wojny. Został aresztowany przez Gestapo, następnie więziony był na Pawiaku, potem w Auschwitz, a w 1942 zginął śmiercią męczeńską w obozie Neuengamme, gdzie został stracony. „Hiszpania w ogniu” ukazała się tylko w jednym wydaniu w 1936 roku, dziś jest uważana za pracę niezwykle rzadką i trudno dostępną. Przede wszystkim jest to bardzo ważne świadectwo narodowo-katolickiego reportażu okresu międzywojennego. Na pewno książka ta zasłużyła na kolejne wydania i szerokie zaistnienie w świadomości polskiej prawicy, a jako iż praca świetnie wprowadza w hiszpańską wojnę domową jest idealną pozycją także dla laików. „Hiszpania w ogniu” z pewnością powinna się znaleźć w kanonie obowiązkowych lektur historycznych dla każdego nacjonalisty.

Patryk Płokita – „Patrick Pearse - irlandzki nacjonalista, katolik, republikanin, humanista”

Irlandzki nacjonalizm mocno związany jest z postacią Patrick’a Pearse’a. Odwołuje się do tej postaci m.in. Republika Irlandzka, ale także działacze Irlandzkiej Armii Republikańskiej („Irish Republican Army” - „IRA”) działającej w Irlandii Północnej. Bohater owego tekstu był nie tylko irlandzkim nacjonalistą, patriotą, ale także katolikiem, republikaninem i poetą. Biegle posługiwał się językiem irlandzkim w mowie i w piśmie. Z wykształcenia był prawnikiem, a w praktyce nauczycielem języka irlandzkiego i irlandzkiej historii. Jego prace etnograficzne wpłynęły na odrestaurowanie języka irlandzkiego na kolejne dekady pokoleń. To on był m.in. współautorem Proklamacji Republiki z 1916 r. i to on ją odczytał na schodach Gmachu Czterech Sądów podczas Powstania Wielkanocnego. To wydarzenie Irlandczycy uważają za początek XX-wiecznej walki o niepodległość i niezależność od brytyjskich wpływów.

Patrick Henry Pearse przyszedł na świat 10 listopada 1879 r., na Great Brunswick Street w Dublinie. Pochodził on z mieszanej rodziny. Ojciec był Anglikiem i protestantem, natomiast matka Irlandką i katoliczką. Tata Pearse’a przeszedł na katolicyzm, ze względu na swój zawód kamieniarza i restauratora irlandzkich kościołów katolickich - chciał być bliżej wyznawców tej religii. Patrick został wychowany w obrządku katolickim. Rodzina ze strony matki mocno przywiązana była do tradycji. Jej członkowie biegle posługiwali się językiem irlandzkim, co na owe czasy było rzadkością, zwłaszcza w Dublinie. Dzięki konserwatywnemu wychowaniu, Patrick przywiązał się do „irlandzkości” już od najmłodszych lat. Chodził do katolickich szkół, w których uczono go historii Irlandii oraz ojczystego języka. Widoczne było to np. w jego późniejszych pisanych lirykach.

Poezję tego irlandzkiego nacjonalisty przyrównać trzeba do stylu naszego rodaka - Zbigniewa Herberta. Wiersze są tu białe, często bez interpunkcji, surowe, naturalistyczne, a zarazem wieloznaczne, zależne od interpretacji odbiorcy. Przywiązanie do kultury irlandzkiej, najbardziej widoczne jest w dwóch utworach: „Matka” oraz „Rebeliant”. (Serdecznie odwołuję czytelnika do bibliografii). Oprócz pisania wierszy, Pearse zajmował się innymi dziedzinami artystycznymi. Patrick był również eseistą, dramaturgiem oraz dziennikarzem. Co ciekawsze - swoją twórczość zapisywał w języku irlandzkim. Chciał w ten sposób pobudzić wykształconych rodaków do odzyskania swojej ojczystej mowy. Wielu pisarzy w tamtym czasie uważało jednak, iż język gaelicki skazuje literaturę irlandzką na zatracenie. Według ich mniemania to język angielski dawał szansę, np. na światową sławę, natomiast język irlandzki miał zamykać ścieżkę do rozwoju. Z tym ostatnim Pearse stanowczo się nie zgadzał.

Walkę o ojczysty język widać w osobistych próbach odrestaurowania języka irlandzkiego przez Pearse’a. Bohater tego artykułu był jednym z pierwszych, który zapoczątkował naukę i umiłowanie

języka irlandzkiego. Sam jednak musiał nauczyć się „oryginalnego dialektu”. Uważał on, iż prawdziwy język irlandzki opiera się na dialekcie z Connaught (Connacht) - regionu poważnie dotkniętego przez tzw. Wielki Głód. (Wielki Głód wywołała zaraza ziemniaczana w latach 1845-1849). Aby pozostałości „niedobitych” fragmentów języka uratować i odtworzyć, Pearse rozpoczął „samo-naukę” dialektów ze wspomnianych okolic. Na czym polegała jego praca? Z dzisiejszej perspektywy wydać się to może dziwne. Mianowicie udawał się on w stroju włóczęgi i jako nierozpoznany przez nikogo, wędrował po prowincji Connacht rozmawiając z „tutejszymi”. Spisywał ludowe gawędy, mity, opowieści oraz piosenki. Rozmawiał on z prostymi ludźmi: robotnikami, rzemieślnikami, rybakami i chłopami. Praca taka przypominała profesję dzisiejszego etnografa i lingwisty.

Pearse w 1895 r. wstąpił do Ligi Gaelickiej, a w 1901 r. ukończył wydział humanistyki i prawa w Royal College w Dublinie, ze specjalizacją w pedagogice i języku irlandzkim. Od 1903 r. był redaktorem pisma „Claidheamh Soluis” („Miecz Światła”), a w latach 1909-1912 zradyzalizował się w poglądach. Przestał akceptować zależność Irlandii wobec Wielkiej Brytanii. Ostatecznie odrzucił „Home Rule”. (Idea ta polegała na utworzeniu autonomii dla Irlandii w ramach monarchii brytyjskiej). Na ten okres przypada także praca nauczycielska Pearse’a, w celu ocalenia młodego pokolenie Irlandczyków przed wynarodowieniem.

W 1908 r. Patrick Pearse utworzył dwujęzyczną szkołę dla chłopców pod wezwaniem świętego Enda. (Pomysł dwujęzycznej szkoły zaczerpnął z Belgii). Uważał on, iż język kształtuje tożsamość narodową. Oprócz tego twierdził, że nie chce wychowywać młodego pokolenia na Brytyjczyków. Pierwszym powodem założenia „świeckiej kuźni irlandzkiego nacjonalizmu” była polityka Kościoła Katolickiego w Irlandii. Owa instytucja, w tamtym czasie, przyczyniała się do anglicyzacji wiernych. Drugim natomiast pozostawał osobisty konflikt Pearse’a z Katolickim Seminarium w Maynooth. Bohater artykułu domagał się, aby język irlandzki i historia Irlandii weszły do kanonu obowiązkowych przedmiotów. Nie przekonał on władz owego seminarium, dlatego też powołał własną placówkę. Pomysł okazał się sukcesem. W późniejszym czasie Pearse musiał przenieść szkołę do większego budynku.

Dlaczego szkołę pod wezwaniem św. Enda określiłem „świecką kuźnią irlandzkiego nacjonalizmu”? Wykładowcą nie była osoba duchowna. Oprócz nauki ojczystego języka i historii, zwrócono uwagę na takie przedmioty jak: wychowanie fizyczne, zajęcia teatralne, lekcje ze sztuki i muzyki irlandzkiej. Wszystkie przedmioty wykładane były w języku irlandzkim. Ważny też był tutaj tok nauczania wdrożony przez Patrick’a Pearse’a.

Program pedagogiczny skupiał się na ważnych postawach w życiu, do których odnoszą się patrioci, narodowcy, czy nacjonaliści. Zaliczyć do nich trzeba m.in.: miłość do języka irlandzkiego, poczucie obywatelskiego obowiązku, postawę poświęcenia się dla innych, życie w trudzie, oddanie życia za

ojczyznę - jeśli ta byłaby w potrzebie. Pearse chciał ukształtować charakter młodych ludzi według pewnego zaplanowanego przez siebie wzorca. Na co dzień, podczas przerw i zajęć wdrażano: przywiązanie do kultury irlandzkiej, uczciwość, szczerść oraz honor. Dla przykładu - jeśli coś się stało w szkole to oczekiwano od uczniów, że osoba, która jest winna, wstanie i przyzna się do złego czynu. Ponadto, żeby cokolwiek uzyskać od nauczyciela, trzeba było zwracać się do niego tylko i wyłącznie w języku irlandzkim.

Gdy Pearse odrzucił idee autonomii, coraz mocniej zainteresował się życiem i historią działaczy na rzecz niepodległości Irlandii. Chodzi tutaj o trzy osoby: Theobald'a Wolfe'a Tone'a, Robert'a Emmet'a oraz Fint'a Lalor'a. Zaciekał go irlandzki niepodległościowy republikanizm. Wsiąkł w ten temat. Ważnym wydarzeniem w jego życiu pozostaje wystąpienie na cmentarzu w Bodenstown na uroczystościach patriotycznych. Poproszono go wtedy o przemówienie, gdzie płomienne słowa trafiły do irlandzkich serc. Przez tą przemowę, zaczęły interesować się nim środowiska dążące do niepodległości Irlandii. W grudniu 1913 r. stał się członkiem Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego i rozpoczął współpracę przy tworzeniu i dozbieraniu Irlandzkich Ochotników („Irish Volunteers”, trzon przyszłej IRA). Przygotowywano się do zrywu. Po przedstawieniu swoich tez programowych w czasopiśmie „Claidheamh Soluis” stał się jednym z głównych ideologów irlandzkiego nacjonalizmu.

Przygotowania do insurekcji oraz podejście do uczniów, nie byłoby możliwe bez specyficznego charakteru Patrick'a Pearse'a. Bohater tego artykułu wpisuje się w pewien sposób we współczesny nacjonalistyczny ruch Straight-Edge. Mianowicie nie pił on alkoholu, nie palił i nie korzystał z używek. Wracając jednak do jego charakteru to do przesady dbał o swój wygląd zewnętrzny i nie posiadał on zbytnio towarzyskiego życia. Nie potrafił mówić o niczym i oczekiwał konkretów w kontaktach międzyludzkich. Negatywnie odnosił się do nieuczciwości, nawet w imię słusznej sprawy, czy to w życiu społecznym, koleżeńskim, rodzinnym czy w konspiracji. Pearse określił siebie w dwóch zdaniach, cytując: „Nie znam się na najnowszej modzie, żeby być jakimś socjalistą lub syndykalistą. Przeciwnie - jestem na tyle staromodny, by być jednocześnie i katolikiem i nacjonalistą”.

24 kwietnia 1916 r. wybuchło Powstanie Wielkanocne. Patrick Pearse stanął na czele rebelii. Zyskał on stopień komendanta. W tym samym dniu przeczytał on tzw. „Proklamację Republiki Irlandzkiej” na schodach głównej siedziby rebeliantów - gmachu dublińskiej Poczty Głównej. Płomienna przemowa nie trafiła do irlandzkich serc. Mieszkańcy stolicy byli w większości na nią obojętni. Część z nich odebrała ją jako element „przedstawienia teatralnego”. Tych kilku zebranych klaskało, gwizdało i buczało. 27 kwietnia 1916 r., o godzinie 15.00, Patrick wygłosił kolejną przemowę, w której przypomniał o sukcesach rebelii, m.in. utrzymaniu najważniejszych punktów w mieście. Tego samego dnia wybuchł pożar. Pearse rozkazał przeniesienie materiałów wybuchowych do

piwnic. 28 kwietnia 1916 r., o godzinie 9.30 komendant sił Irlandzkiej Republiki napisał ostatni biuletyn władz powstańczych. Widać w nim było narracje przepelnioną nadzieją i entuzjazmem. Doszło do drugiego pożaru w budynku Poczty Głównej. Był on bardziej zdradziecki, dlatego Pearse zarządził ewakuację. Podczas opuszczania budynku Patrick był wstrząśnięty napotkanym widokiem. Cierpiąca ludność cywilna i zbombardowana przez brytyjską artylerię stolica wgrzyła się mu w pamięć. Dublin w niektórych miejscach zrównano z ziemią. Po ewakuacji doszło do narady głównych przywódców powstania. Przegłosowano warunki kapitulacji. Inicjatorem był Pearse. Głównym argumentem za podpisaniem rozejmu było zmniejszenie strat pośród ludności cywilnej. 29 kwietnia 1916 r. Patrick Pearse jako komendant wojsk powstańczych ogłosił kapitulację. 2 maja 1916 r. został on osądzony za zdradę Wielkiej Brytanii. Bohater tego artykułu miał wypowiedzieć znamienne słowa, cytując: „Nie przegraliśmy. Nie stanąć do walki oznaczałoby przegrać. Walczyć - to odnieść zwycięstwo” (...) „Nie możecie pokonać Irlandii; nie zdołacie zdusić irlandzkiego pragnienia wolności. Jeśli nasz czyn nie wystarczył aby zdobyć wolność, to nasze dzieci zdobędą je lepszym czynem”. Do Pearse’a nie dopuszczono rodziny, dlatego napisał on list do matki, cytując fragment: „(...) Walczyliśmy o honor Irlandii i nasz własny. Ludzie teraz będą mówić o mnie przykre rzeczy, ale potomność będzie nas pamiętać, a nienarodzone jeszcze pokolenia błogosławić. Nie żałuj, lecz myśl o tym jak o ofierze (...)”. Skazano go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 3 maja 1916 r., między godziną 3, a 4 w nocy, w więzieniu w Kilmainham.

W wyniku rozstrzelania przywódców Powstania Wielkanocnego zawrzało na arenie międzynarodowej. USA postawiło ultimatum wobec Wielkiej Brytanii. W konsekwencji zaprzestano rozstrzeliwać liderów zrywu i zmniejszono represje wobec powstańców. Śmierć liderów zrywu nie poszła na marne, w tym i Patrick’a Pearse’a. Wydarzenie to rozbudziło Irlandczyków do działania. Ludność wyspy rozstrzeliwania zaczęła określać mianem „mordu” i „zbrodni”. Po I wojnie światowej silniej zaczęła działać partia „Sinn Fein”, skupiająca osoby dążące do suwerenności zielonej wyspy. Pośród Irlandczyków zwiększyła się świadomość narodowa, przestali uważać się za poddanych korony brytyjskiej. Ta świadomość najmocniej była widoczna np. podczas wojny o niepodległość Irlandii z lat 1919-1921. Znamienne były słowa Pearse’a wypowiedziane podczas procesu. Nieoczekiwanie spełniły się one w przeciągu kilku lat od ich wypowiedzenia.

Bibliografia:

Donnelly J, „Encyklopedia of Irish History & Culture”, wyd. Thomson Gale 2004.

Moody T.W., Martin F.X., „Historia Irlandii”, Poznań 1998.

O’Riain, S. „Irlandia w XIX wieku - walki o niepodległość. Problem zanikającego języka irlandzkiego”, wyd. Towarzystwo Polsko-Irlandzkie, Poznań 1997.

O’Riordan T., „Patrick Henry Pearse, University College Cork”, [w:]

http://multitext.ucc.ie/d/Patrick_Henry_Pearse (dostęp 03 XII 2012);

Petrusiewicz M., „Irlandzki sen: Życie Konstancji Markiewiczowej - komendantki IRA (1868-1927)”, Warszawa 2000.

Rolex, „Stara kobieta z Beare”, [w:] <http://hekatonchejres.salon24.pl/429196,stara-kobieta-z-beare,2> (dostęp 03 XII 2012r) (M.in. tłumaczenie wierszy „Rebeliant” oraz „Matka” autorstwa Patrick’a Pearse’a).

Swoboda G., „Dublin 1916”, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2006.

Marek Kubiński – „Czas biesów”

"Tedy się przeprawili za morze do krainy Gadareńczyków A gdy Jezus wyszedł z łodzi, zaraz wybiegł Mu naprzeciw z grobów człowiek mający ducha nieczystego; który miał mieszkanie w grobach, a nie mógł go nikt i łańcuchami związać, gdyż często, związany pętami i łańcuchami, zrywał łańcuchy i kruszył pęta, i nikt nie mógł go poskromić. I całymi dniami i nocami przebywał w grobowcach i na górach, krzyczał i tłukł się kamieniami. Ujrawszy tedy Jezusa z daleka, przybiegł i pokłonił mu się; A wołając głosem wielkim, rzekł: Cóż mam z tobą Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Poprzysięgam cię przez Boga, abys mię nie trapił. Powiedział mu bowiem: "Wyjdź, duchu nieczysty, z tego człowieka." I zapytał go: Jak ci na imię? Odpowiedział Mu: Na imię mi "Legion", bo nas jest wielu. I prosił go bardzo, aby ich nie wyganiał z owej krainy. A była tam przy górach wielka trzoda świni, która się pasła. I prosili go, mówiąc: Puść nas w te śwynie, abyśmy w nie weszli. I pozwolił im. Tak duchy nieczyste wyszły i weszły w śwynie. A trzoda około dwutysięczna ruszyła pędem po urwistym zboczku do jeziora. I potonęły w jeziorze. Pasterze zaś uciekli i rozpowiedzieli to w mieście i po zagrodach, a ludzie wyszli zobaczyć, co się stało. Gdy przyszli do Jezusa, ujrzeli opętanego, który miał w sobie legion, jak siedział ubrany i przy zdrowych zmysłach. Strach ich ogarnął A ci, którzy widzieli, opowiedzieli im, co się stało z opętanym, a także o świniach. Wtedy zaczęli prosić Jezusa, żeby odszedł z ich granic."

Wśród ciągle rozbawionego dionizyjskimi rozrywkami tłumu rozeszła się wieść o kolejnym terrorystycznym ataku. Na pierwszy ogień poszli uczestnicy sylwestrowej zabawy w Konstantynopolu i Hamburgu. W przeciągu kilku następnych dni doszło do kolejnych zamachów, tym razem w Jerozolimie i na Florydzie. I człowieka, przykładowego płatnika podatków w globalnym państwie potworze, nachodzi refleksja. Nie trzeba być nad wymiar wnikliwym obserwatorem rzeczywistości, aby dojść do wniosku, iż epoki się zmieniają. I do zmiany dochodzi teraz, na naszych oczach. Po czasie wielkich odkryć geograficznych, czasie wielkiej kolonizacji czy wielkich europejskich wojen domowych nadchodzi epoka wielkiej zapaści. Oto czas biesów.

Kolejne wieki ludzkiej egzystencji na tym świecie, a także stworzone przez niego formy ustrojowe, są znaczone dominacją różnych sił duchowych oraz intelektualnych. Tak oto w ustroju monarchicznym inteligencja zawsze będzie miała przewagę nad głupotą, jak twierdził Arthur Schopenhauer. System demokracji liberalnej znaczonej jest natomiast przez dominację duszy popędliwej i wegetatywnej nad duszą refleksyjną. Zależności pomiędzy różnymi prądami szarpiącymi ludzkim duchem przedstawił już Platon, który głosił istnienie trzech różnych dusz: rozumnej, destrukcyjnej i popędliwej. Cała historia rozwoju cywilizacji jest zależna od odpowiedniego uwolnienia twórczego pierwiastka ludzkiej duszy przy jednoczesnym trzymaniu na wodzy popędów. Nie bez powodu w innowacyjności i przedsiębiorczości tak długo dominowała

cywilizacja zachodu, gdzie duży nacisk na uszanowanie ludzkiej indywidualności łączył się ze zbawiennym wpływem teologii chrześcijańskiej, która w doskonały sposób powstrzymywała to, co w nas najgorsze.

Żyjemy w czasach, w których „wszystko zaczęło być dla ludzi”. Jak zauważył Dinesh d’Souza, współczesna lewica specjalizuje się w coraz większej ingerencji państwa w życie jednostki, przy pozostawieniu jej dużej swobody w sferze prywatnej. I nie mówimy tutaj o tradycyjnym poszanowaniu ogółu dla autonomii i upodobań jednostki, które są kultywowane przy poszanowaniu praw (a także smaków) innych, tylko o przyzwoleniu nawet na najbardziej chore upodobania i pomysły. Mamy do czynienia z ostatecznym efektem rewolucji protestanckiej, a mianowicie z przeniesieniem ciężaru osądu z prawa naturalnego, na niczym niepodparty osąd prywatny. W tym procesie swój niechlubny udział bierze również papież Franciszek, dla którego podstawowym narzędziem poznania ma być sumienie, niezależne od ustanowionych wcześniej wiecznych praw. W naszych czasach dochodzi więc do silnego uderzenia w sferę wolności gospodarczej (która wg Fryderyka von Hayeka jest nierozzerwalnie związana z wolnością osobistą), przy przyzwoleniu na wszelkie wynaturzenia w sferze prywatnej. Właśnie teraz należy przypomnieć rolę form, które zdaniem Conrada stanowią najlepsze, co spotkało ludzi, ponieważ w pozytywny sposób kontrolują jego odruchy. Realizuje się natomiast (być może nie do końca zamierzone) przesłanie Gombrowicza, u którego formy są postrzegane jako niepotrzebny element opresji. W obecnych warunkach stłamszona zostaje twórczość, a drzemiący w odmętach ludzkiej duszy Antychryst zostaje uwolniony.

Bestia, przeciwnik Chrystusa w dniach ostatecznych nie jest jedynie postacią osobową. Antychryst to wewnętrzne pragnienie postawienia się w boskiej pozycji. Antychryst jest częścią nas, która buntuje się przeciwko Bogu i jego prawom, czasami zwyciężając. W schyłkowej erze cywilizacji łacińskiej liberalna demokracja zezwala, a wręcz pochwała bezproduktywne zaspokajanie swoich potrzeb. Taka jest sytuacja wśród okcydentalnej zgnilizny. Natomiast na to bagno najeżdża dzisiaj armia obcej cywilizacji. Bezpośredni następcy maurów i Berberów są przedstawicielami tego, co na świecie wiecznie dąży do konfrontacji i zniszczenia. Cywilizacja negacji po raz kolejny napada na cywilizację twórczości, a raczej na kulturę rozpustnych sybarytów będących potomkami rycerzy i zdobywców. Wszyscy traktowani z niechęcią przez obrońców Europy nachodźcy i terroryści, którzy coraz częściej gwałcą i mordują, nie są winni całego tego zamieszania, a nawet tych poszczególnych ataków. Najeżdźcy ci nie powinni być traktowani jednostkowo, ponieważ nie są jednostkami. To pewne od zawsze (a właściwie od buntu Lucyfera) obecne na ziemi siły, które przez swoją nieforemność zawsze napadały na wszystko, co Europejskie, bądź też były zmuszone do podporządkowania się. Teraz, wobec naszej słabości, mamy do czynienia z kolejnym marszem diabłów przeciwko naszej Europie. Tutaj jednak nieświadomie i wbrew swoim przekonaniom stają

w jednym szeregu z naszymi rodzimymi biesami, które wyzwalają się w szczególnych momentach. Diabły wychodzą z mickiewiczowskiego Konrada w czasie Wielkiej Improwizacji, kiedy ten kieruje swój oręż przeciwko Stwórcy, szturmują Okopy Świętej Trójcy u Krasińskiego, burzą porządek publiczny w książce Dostojewskiego (w „Biesach”), niszczą płonącego nienawiścią do wszystkiego co boskie Fryderyka Nietschego. Biesami naszych czasów są różnego rodzaju tzw. frakcje zmienne (lunatic factions) – grupy, które wbrew wszystkiemu dążą do konfrontacji, zwalczając wielorakich przeciwników, częściej wyimaginowanych, niż rzeczywistych. Purytanie, sankiuloci, hebertyści, bolszewicy. Dziś zapewne anarchiści, podpalacze, inicjatorzy zamieszek katujący policjantów razem z islamistami. Mimo że kontestują otaczający ich świat, są nieodrodnymi dziećmi swojej epoki. Zawsze pokolenie libertyńskiego próżniactwa rodzi pokolenie nihilistycznych biesów, co znakomicie zarysował Fiodor Dostojewski. Pokolenie niszczycieli jest w pewnym sensie ukoronowaniem dzieła swoich ojców. Kiedy Stiepan (ojciec) uczynił siebie i swoje pragnienia najważniejszym kompasem własnych czynów, jego syn Piotr skłania się już ku stwierdzeniu „nie ma boga, prócz mnie”, a w realizacji swoich celów nie waha się dokonać morderstwa i podpalić całego miasta. Być może „nasze biesy” wypadają dość blado w porównaniu z biesami importowanymi, ale tego przeciwnika również nie należy lekceważyć. Nie zapominajmy, że Stylichon i Aecjusz – ostatni obrońcy Rzymu, zginęli z rak swoich rodaków. Nie zapominajmy, że nienawiść spersonalizowana w osobach marsyliańskiego motłochu stanowiła przez kilka lat główny filar satanistycznego porządku we Francji. Ponad wszystko należy zachować czujność. Świat, który odkrył idealne formy, ale świadomie je odrzucił, by następnie popaść w odmęty nicości jest światem, który otacza nas ze wszystkich stron. Ze szczelin w świątynnych murach (być może tych, o których mówił J. Św. Paweł VI) skaczą ku nam demony próżniactwa i samouwielbienia z jednej strony, a z drugiej demony zniszczenia i śmierci. To dobrze. Kiedy myślę o Bogu, wyobrażam sobie zarówno kreatora, jak i obserwatora rzeczywistości, który patrzy, jak kolejne systemy powoływane do życia przez jego nieudolne dzieci wzrastają, by w końcu popaść w wynaturzenia. I kiedy widzi, ile zła jesteśmy w stanie zgotować sami sobie, spogląda na klepsydrę mówiąc „wasz czas już nadszedł. Czas, byście zostali usunięci”, a potem nakazuje spuścić ze smyczy czarty, szekspirowskie psy wojny. Upadek zawsze jest zasłużony i na dłuższą metę pożądany. Wszystko to jest dobre, ponieważ pęd biesów jest wyłącznie pędem ku przepaści, ku autodestrukcji. Ci, którzy już dokonali wyboru, nie zwyciężą wiecznej wojny. I jak uczy ewangelista, wystarczy czekać, chronić tradycję i kulturę, a nasza Europa będzie uzdrowiona. Warto zachować w sercu jej część, aby wśród diabelskiego wycia tych, którzy zatracili własną twarz, obronić to, co warte jest obrony. Nie jest to wezwanie do bierności, tylko do walki aktywnej, aż do odrodzenia, jeżeli takie jest nam pisane. Żeby przyszli Europejczycy mogli wśród gruzów zebrać odłamki starego świata, by zbudować z nich nowy, kiedy ucichną już echa Nocy Walpurgi.